ŚWIAT

REDAKCJA I ADMINISTRACJA • WARSZAWA, SZPITALNA 12

Nr. 25. 23 CZERWCA 1934 R.

Pogrzeb

ś. p. Min. Bronisława Pierackiego

CENA 1 ZŁ.



KONKURS NA AFISZ PROPAGANDOWY GDYNI

Wydział Turystyki Ministerstwa Komunikacji ogłasza konkurs otwarty na projekt afisza propagandowego Gdyni, który ma być wydany w cyklu afiszów propagandowych Ministerstwa Komunikacji. Tematem afisza ma być Gdynia, jako port nadmorski, względnie Gdynia, jako kąpielisko nadmorskie. Treść rysunku jest dowolna, lecz zrozumiała dla najszerszych warstw, pozostająca w pamięci i pobudzająca chęć zobaczenia Gdyni.

Na afiszu winny być zamieszczone napisy: Polska, Poland, Polen, Pologne, Gdynia, które to wyrazy, zależnie od kompozycji, mogą być umieszczone obok siebie, lub rozdzielone. Litery napisów mają być duże i czytelne zdala. Napisy mają być w układzie poziomym, a nie pionowym. Ilość kolorów maksymalnie 4, nie licząc w tem koloru papieru. Wielkość plakatu 70 × 100 cm.

W konkursie mogą wziąć udział obywatele polscy oraz Polacy bez względu na obywatelstwo.

Nagród wyznacza się trzy: I — 700 zł., II — 500 zł., III — 300 zł. Ministerstwo Komunikacji zastrzega sobie pozatem prawo zakupu dalszych prac dla celów reprodukcji. Natomiast pracom nagrodzonym za prawo reprodukcji specjalne honorarja płacone nie będą. Projekty nagrodzone lub zakupione stają się własnością Ministerstwa Komunikacji.

Prace konkursowe należy składać lub nadsyłać pocztą w tekach nie w rulonach, z napisem: „Praca konkursowa na plakat Gdyni" do Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji, Warszawa, ul. Nowy Świat 14.

W każdem opakowaniu może się znajdować tylko jeden projekt i jedna koperta zapieczętowana z nazwiskiem i adresem autora. Każdy projekt otrzyma numer porządkowy zgłoszenia. Numer ten będzie zarazem znakiem projektu; pozatem żadnych znaków ani godła nie należy umieszczać.

Termin nadsyłania prac upływa nieodwołalnie z dniem 11 sierpnia r. b.

Prace konkursowe nienagrodzone będą zwracane autorom do dnia 15 września 1934 r. Prace nieodebrane do tego terminu stają się własnością Ministerstwa Komunikacji. Członków sądu konkursowego wyznaczy Naczelnik Turystyki Ministerstwa Komunikacji.

Wydział Turystyki Ministerstwa Komunikacji zastrzega sobie prawo urządzenia wystawy ze wszystkich nadesłanych na konkurs prac.

Warunki konkursu można otrzymać codziennie w godzinach 12 — 14 w kancelarji Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji, Warszawa, ul. Nowy Świat 14.

„Zorganizowanym i przygotowanym do obrony przeciwlotniczo-gazowej nic grozić nie będzie"—Zapisujcie się na członków L. O. P. P.!

W NUMERZE:

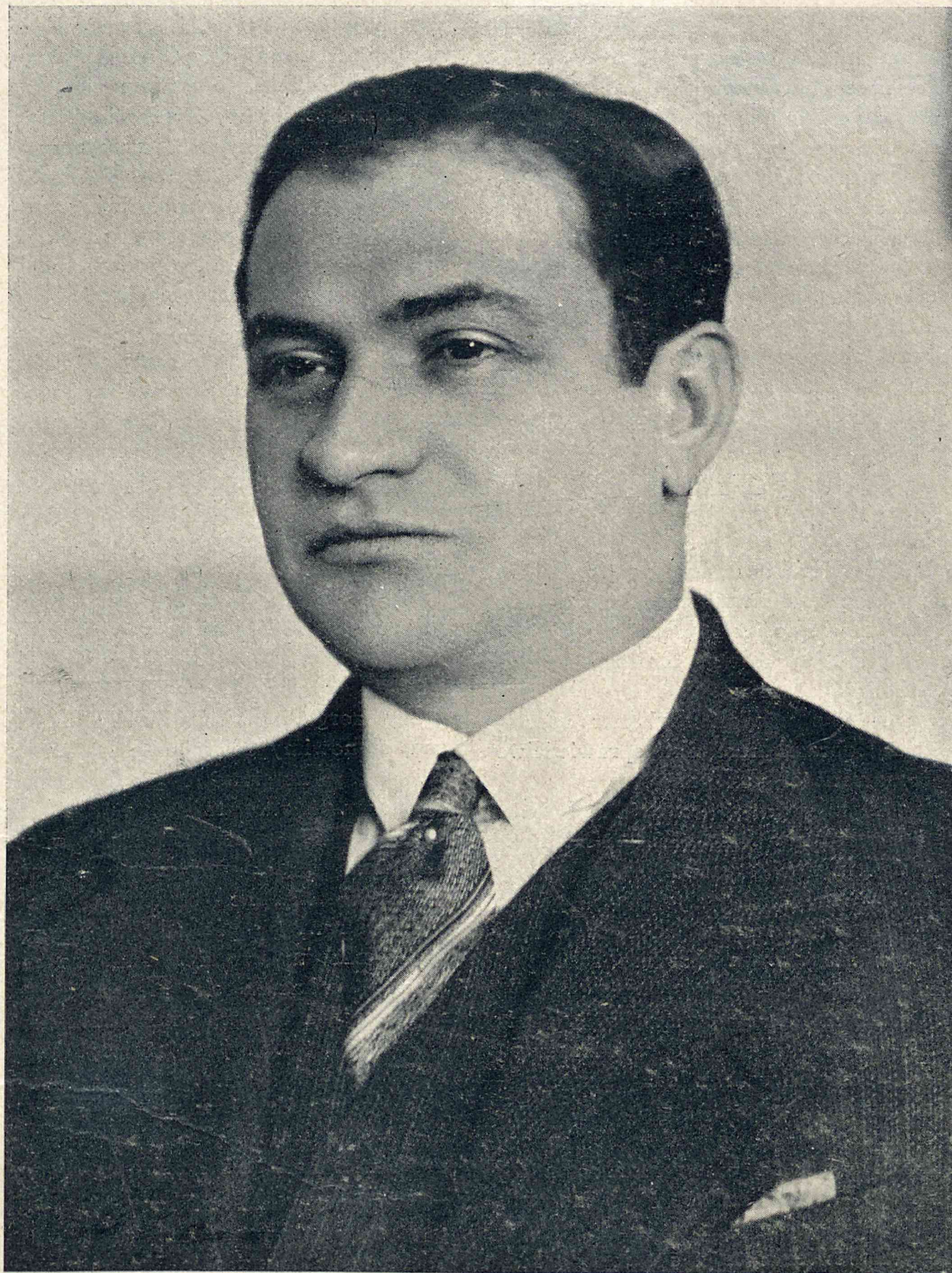
Ś. p. Minister Bronisław Pieracki
Spotkanie Mussolini-Hitler
Z. Grabowski — List z Krakowa
M. Wańkowicz — Na wodzie
Z. Norblin-Chrzanowska — Z wydawnictw artystycznych
J. Meissner — Na głuszce
M. Kasterska — Korespondencja z Paryża
Ks. Kneblewski — W pogoni za słońcem
H. Jel. — Romans i życie kryminalne (feljeton)
Jim Poker — Niespodzianka (nowela)
Teatr
Tydzień „Świata"
Świat książki
Wyścigi

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXIX. Nr. 25 23.VI.1934

Ś. P. BRONISŁAW PIERACKI,
MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH, PADŁ OD
SKRYTOBÓJCZEJ KULI 15 CZERWCA 1934 R.



ZBRODNIA

Wstrząs zgrozy i oburzenia przeszedł przez cały kraj.

Był on silniejszy i bezpośredniejszy, niż najostrzejsze słowa, które wyrażały wyklęcie moralne, jakie spadło na skrytobójczego sprawcę. Sumienie społeczne przepełniło się odrazą i wypisało ognistemi zgłoskami wyrok najbezwzględniejszego potępienia na mordercę, co przelewając krew ś. p. Ministra Bronisława Pierackiego w symbol władzy Rzeczypospolitej godził.

Postać Zamordowanego czy z czynów jego, czy ze słów żegnającego go Kapłana-powiernika, czy ze słów pracę jego przypominających przyjaciół — wyrasta dziś pełna chwały. Niestety, chwałę tę otoczył kir. Słowa żalu, słowa oddanego hołdu, które ze wszystkich stron splotły się w olbrzymi wieniec u wezgłowia Zamordowanego złożony, stanowią najlepszy obraz czci, jaki naród Mu ze swego serca oddał.

Z tego wieńca żalu wiązankę słów i uczuć żałoby tu podajemy.

Tragedja, jaka przed tygodniem rozegrała się w Warszawie, odbiła się głośnem echem po całym kraju, wywołując powszechne oddźwięki żalu, czy potępienia.

Nad trumną ś. p. ministra Bronisława Pierackiego ks. prałat Popławski wygłosił wzruszające kazanie, z którego wyjątki podajemy poniżej:

„...ś. p. minister Pieracki... był brylantem, który w koronie Królowej Polski błyszczał najpiękniejszemi barwami. Posiadał moc charakteru, twardość zasad, sprawiedliwość, miłość Ojczyzny i Kościoła. Te zasady ożywiały całe jego życie. Cechowała go rezygnacja z siebie, uczciwość i uczynność jaknajdalej idąca.

Kiedyś powiedział do mnie:

— Jakie to szczęście być ministrem Rzeczypospolitej. Ile to dobrego można zrobić!

Starał się wszystkiemi siłami dobrze czynić. W pierwszej linji dobrze czynić dla Państwa, dla Ojczyzny. Nie ustawał w trudzie. Wszystkie swe chwile poświęcał pracy dla Ojczyzny. Dobrze też czynił i ludziom. Wiedzą o tem ci, co go znali blisko..."

Pan Premjer Kozłowski wygłosił nad trumną ś. p. ministra Pierackiego podniosłe przemówienie, w którem wyraził głęboki żal nad tą bolesną stratą, oraz pełne zgrozy oburzenie:

„...Ten cios ugodził w honor naszego państwa, obraził instynkt sprawiedliwości i moralności publicznej.

...Sięgnięto po oręż teroru. Kimkolwiek był i skądkolwiek pochodził zbrodniarz, odpowiedzialność moralna za jego czyn spada na wszystkich przygotowujących oręż i atmosferę teroru. Na nich wszystkich spadnie surowa, karząca ręka państwa.

To winniśmy Rzeczypospolitej i pamięci ofiary teroru, Bronisława Pierackiego i to — oświadczam z całą powagą — będzie wykonane"...

Podczas niedzielnej podniosłej uroczystości żałobnej na placu Marszałka Piłsudskiego — wzruszające i piękne przemówienie wygłosił gen. Górecki.

Z przemówienia tego cytujemy kilka momentów:

„Kirem żałoby pokryły się nasze sztandary. Poprzez kraj cały, jak długi i szeroki, przeszedł jakby odgłos bólu, okrzyk zgrozy, żalu i oburzenia.

Padł od kuli skrytobójczej minister Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, padł żołnierz, który od pierwszych chłopięcych lat do walki zbrojnej o niepodległość Polski się sposobił, który krew swoją na polu walki przelewał — padł jeden z najwierniejszych żołnierzy Komendanta.

Kim był Bronisław Pieracki? Od pierwszej młodości był żołnierzem, walczącym o wolną i niepodległą Polskę. Jego dowódca pułku tak o nim mówił:

„Charakter prawy i wypróbowany, temperament spokojny, w służbie energiczny, w bitwie bardzo odważny, dobrze orjentujący się, w ogniu spokojny i inicjatywny, poza służbą wzorowy, wobec przełożonych bez zarzutu, o podwładnych troskliwy, wykształcenie wojskowe posiada bardzo dobre...".

...Nie pierwsze to strzały w stolicy usłyszała Warszawa. Słyszeliśmy je niegdyś — i dziś jeszcze mamy ich pełne uszy i serca: to strzały w Zachęcie, które zabiły Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej — i strzały w Truskawcu — które zdradziecko zamordowały Tadeusza Hołówkę.

Dziś jeszcze nie wiemy, z którego środowiska wyszedł morderca Bronisława Pierackiego. Ale to nie zmienia postaci rzeczy.

My, zorganizowana Polska współczesna, stanowimy dzisiaj siłę, — którą stać na spokój i na stanowczość. Toteż oświadczamy: wszystko to, co wybrało sobie, jako metodę walki politycznej, zdradzieckie kule, gwałt, bojówkę — wszystko to będzie zmiażdżone bez względu na to, z której strony by pochodziło!

Bezpośrednio po zamachu na murach stolicy ukazała się piękna i głęboko wstrząsająca odezwa prezydenta Kościałkowskiego, z której wyjątki cytujemy poniżej:

...„Po raz drugi w stolicy naszej dokonana zostaje zbrodnia, wymierzona przeciwko Państwu Polskiemu.

Gdy wznoszono pierwsze jego zręby, padł na progu pracy Gabryjel Narutowicz. Warcholska anarchja i tępa ciemnota próbowały zdradziecko podciąć wiarę narodu we własną jego moc twórczą. Zwyciężyła jednak zdrowa siła narodu i dźwignęła Państwo na wysokie wyżyny powagi i potężnego rozwoju.

I oto niespodziewanie, w momencie tryumfów polskiej siły i polskiej wytrwałości, wypełza znowu zbrodniczy potwór.

Z ręki zbrodniarza pada Minister Spraw Wewnętrznych, pada Bronisław Pieracki, jeden z najwybitniejszych twórców odrodzonej Polski. Pada na warcie, jako strażnik dokonanych prac.

Zamach na Ministra Pierackiego — to zamach na siłę rozwoju Polski, zamach na rolę Polski w życiu narodów świata".

Potworny mord jest szeroko omawiany przez prasę. Poniżej podajemy najbardziej charakterystyczne głosy:

„Gazeta Polska" z dn. 16 czerwca b. r.:

„Zamach na ministra Pierackiego jest nietylko zbrodnią, jest także nonsensem. Tak dalece nonsensem, że niewiadomo komu go przypisać, ani zgadnąć, w jakiem środowisku politycznem, w jakich ugrupowaniach tkwią jego korzenie?

Napewno odżegnają się jutro od nieznanego zbrodniarza wszystkie stronnictwa polityczne. A jednak zamach miał miejsce, jednak ktoś strzelał — jednak ziemia przykryje na wieczność zamknięte oczy ministra Pierackiego. Nie jest rzeczą możliwą do pomyślenia, by nikt za to nie ponosił odpowiedzialności.

Gdy wyjaśnione zostanie, gdzie tkwią korzenie mordu, na jakim fermencie wezbrała ta zbrodnia — to trzeba będzie chore miejsce wypalić białem żelazem. I pora aby wiedzieli i pamiętali o tem wszyscy: — okres nieodpowiedzialności w dziejach Polski skończył się. Spokojna, beznamiętna, ale surowa sprawiedliwość stoi na straży ładu Rzeczypospolitej. Sprawiedliwość ta czynić będzie swoją powinność do końca. Nie dla pomsty, — ale dla prawa. Nie dla gniewu — ale dla Sprawy".

„Kurjer Poranny" z dn. 16 czerwca b. r.

„Na ministrze Rzeczypospolitej, w stolicy państwa, dokonano nikczemnej zbrodni. Dwiema kulami rewolwerowemi ugodzono śmiertelnie głowę, dlatego że wypełniały ją troski o państwo, — rozważne uczciwe myśli, kierowane ku rozwijaniu siły wewnętrznej i tężyzny narodu...

...Z chwilą, gdy miejsce walki idej oraz ścierania się myśli i światopoglądów zajmuje gwałt, teror, kula rewolwerowa,



Towarzysze broni wynieśli z kościoła na swych barkach zwłoki ś. p. Ministra Bronisława Pierackiego

Fot. St. Brzozowski



Pan Prezydent Mościcki kroczy za trumną. Obok szef protokułu dypl. M. S. Z. hr. Romer, pułk. Głogowski, szef Kancelarji Cywilnej p. Świeżawski. Bezpośrednio za Panem Prezydentem idzie P. Premjer L. Kozłowski, Marszałkowie Sejmu i Senatu i Rząd in corpore.



Korpus dyplomatyczny wziął udział w komplecie w pogrzebie ś. p. Ministra Bronisława Pierackiego. W pierwszym rzędzie idą Ambasador Laroche, Nuncjusz Apostolski Marmaggi, Ambasador St. Zjednoczonych, Ambasador Z. S. R. R. Dawtjan

Fot. Marx

cały porządek rzeczy, oparty na przekonaniu, iż takie środki działania nie będą stosowane — musi być poddany rewizji i odmieniony. Atmosfera, w której rodzi się teror, musi być stłumiona siłą, — w przeciwnym razie rządzenie nie stałoby na wysokości zadania. Wyzwanie zawarte w zbrodni musi być natychmiast podjęte. Kto je rzucił, musi ponieść karę."

„Kurjer Warszawski" z dn. 16 czerwca b. r.:

„Wiadomość o zbrodni, dokonanej wczoraj na ministrze spraw wewnętrznych, ś. p. Bronisławie Pierackim, wywołała w narodzie polskim powszechne uczucie odrazy moralnej i wyrazy gorącego protestu politycznego. Jednolita, solidarna opinja łączy dziś w Polsce wszystkich ludzi uczciwych i wszystkich ludzi politycznie myślących. Wymieniamy tych ostatnich, lubo nikt jeszcze nic nie wie ani o osobie zbrodniarza, ani o pobudkach jego postępku. Taka jest jednak kolej rozumowania pospolitego, że gdy ofiarą zamachu staje się człowiek, reprezentujący władzę w państwie, to szuka się tu przedewszystkiem motywów politycznych.

...Ze stanowiska tych, którzy nie reprezentują kół rządowych, należy zaznaczyć, iż gdyby okazało się, że tło zbrodni, dokonanej wczoraj na ministrze spraw wewnętrznych, jest polityczne, to potępienie przez ogół stałoby się potrójnie stanowcze. Niewiadomo, ile to już razy, przy okazjach rodzimych lub obcych (np. ostatnio z powodu zabójstwa premjera Duci w Rumunji) wywodziliśmy na tem miejscu, że terror polityczny nie jest nigdy bronią, prowadzącą do dobrze, ściśle i uczciwie określonego celu. Napewno poprowadzi on tylko do jednego: do anarchji. Gdyby więc ktoś nie rządził się w ocenie zbrodniczych zamachów politycznych chrześcijańskiem kryterjum, towkażdym razie ostrzegać go winno kryterjum polityczne...

„Ilustrowany Kurjer Codzienny" (Kraków) dn. 20 czerwca r. b.:

...Wstrząsnęły się sumienia nasze, lecz gmach państwa stoi mocno. Czujemy jego obecność wśród nas — i dlatego stajemy się mocniejsi. Jego moc i myśl nie zginęła. Zostawił nam ją.

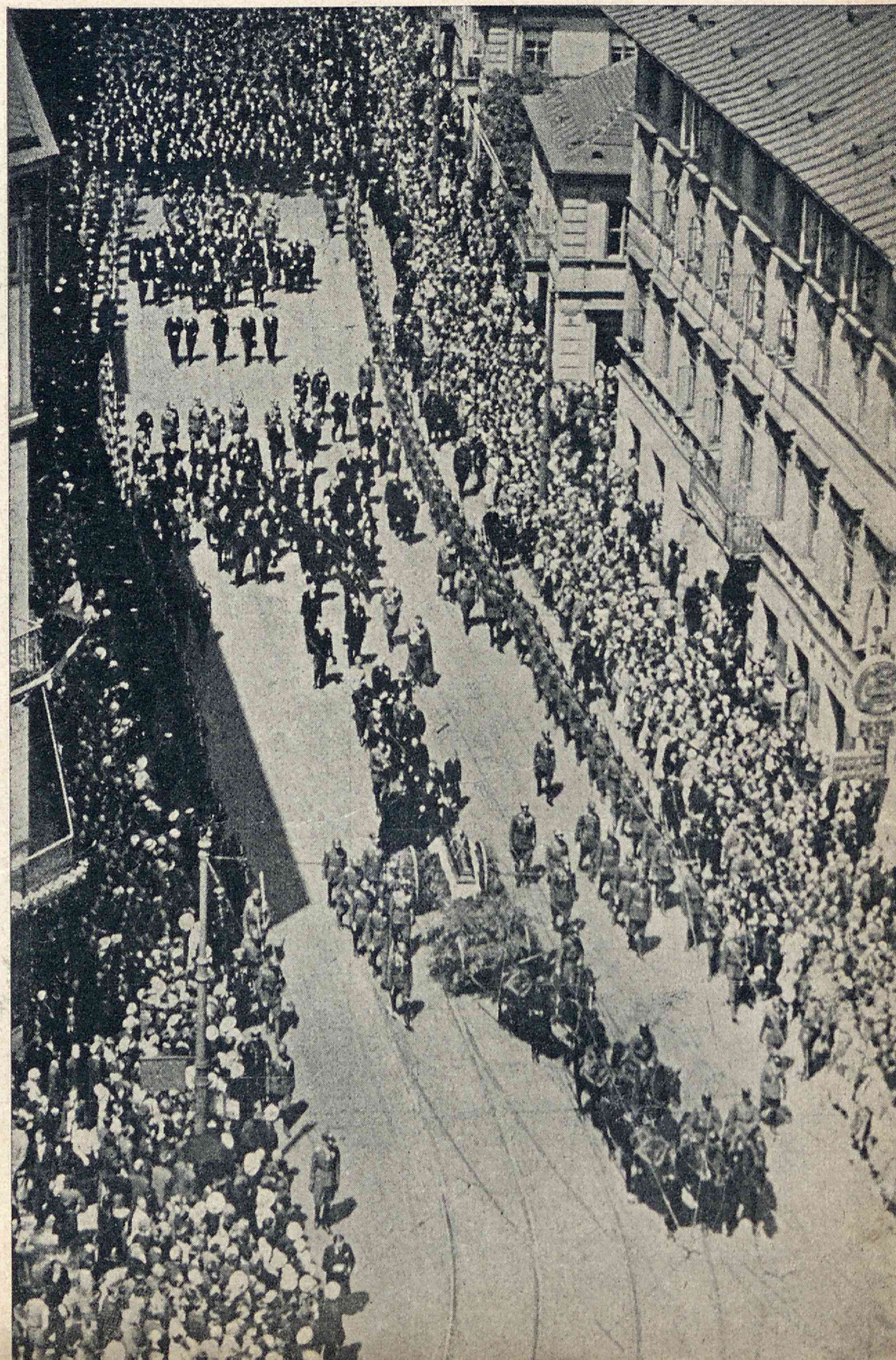
To jest spadek dla Polski po generale Pierackim."

„A. B. C." z dn. 16 czerwca b. r.:

...„stwierdzić trzeba, że mord wczorajszy spotkał się z jednomyślnem i zdecydowanem potępieniem ze strony całej polskiej opinji, która doskonale zdaje sobie sprawę, do jak nieobliczalnych następstw doprowadzić może metoda załatwiania sporów i walk zapomocą morderstw i zamachów."

Na zakończenie podajemy fragment z przemówienia p. wicemarszałka Cara, wygłoszonego nad otwartym grobem ś. p. generała Bronisława Pierackiego:

...„Ta krew nie może być tylko źródłem wspomnień koszmarnych. Ona musi stać się punktem wyjścia nowego czynu, czynu wielkiego, czynu godnego tego, którego dziś żegnamy. I tak, jak wtedy podczas potyczki, gdy padnie żołnierz, zwierają się szeregi i rodzi się tem gwałtowniej żądza zwycięstwa, tak samo i my, którzy pozostajemy, powinniśmy zewrzeć nasze szeregi w pracy dla Polski. Polski wielkiej, Polski silnej, Polski rządnej".



Kondukt żałobny skręca z Nowego Świata w Aleje Jerozolimskie

Photo Plat

TYDZIEŃ ŚWIATA

(L. Ch.) Było wiadome, iż od chwili objęcia władzy Hitler pałał chęcią spotkania się z Mussolinim i odbycia z nim bezpośredniej rozmowy. Jeśli dotychczas rozmowa ta nie miała miejsca, to poprostu dlatego, iż Mussolini zawsze znajdował preteksty, aby się od spotkania uchylić. Nim Hitler władzę pochwycił, było to czynione z kurtuazji dla poprzedniego rządu, oraz z niechęci odsłonięcia nadmiernej sympatji dla Hitlera. Później w sytuacji międzynarodowej Mussolini parokrotnie zręcznie uniknął wykazania się, iż przechyla się na stronę Hitlera. Wprawdzie w polityce włoskiej były momenty popierania poglądów, tez, żądań niemieckich — czy to w Genewie, czy w wymienionych notach dyplomatycznych, ale zawsze unikano wysunięcia się na sztych. Czyniono to w towarzystwie. Partnerem bywała Anglja, partnerem bywały te lub inne ugrupowania chwilowe na komisjach konferencji międzynarodowej, partnerem bywała Ameryka. Włochy były czasem motorem, czasem inicjatorem jakiejś akcji wspólnej, bywały i przeszkodą do skrystalizowania się akcji nieprzychylnej dla Hitlera — ale nigdy nie stworzyły sytuacji, w której możnaby było powiedzieć, że Włochy i Niemcy ustaliły ścisły sojusz, specjalne warunki solidarnej akcji.

Spotkanie w Wenecji doszło do skutku ze *specjalnej, stanowczej* inicjatywy Hitlera.

Hitler wyraźnie broni się teraz przed izolacją w polityce międzynarodowej. Nic to, że niektóre jego tezy znajdują nader życzliwe zrozumienie i poparcie Anglji. Nic to, że w swej taktyce międzynarodowej Anglja rzuca kłody pod nogi realistycznej i trzeźwej polityce Francji. Pokolenie, które w kolebce słyszały chórowe narodowe pienia, wzywające kary Boskiej na Anglję, wie, że ta życzliwość angielska dla Niemiec nie płynie z sympatji czy miłości dla Niemiec.

Utracony atut przymierza dawnego rządu Rzeszy z Sowietami, zaostrzona polityka Francji, gdzie w ministerjum spraw zagranicznych potłuczono różowe szkła Brianda i Paul - Boncoura, nieustępliwość Włoch w sprawach Austrji — sprawiły, iż Führer poczuł się dość niewyraźnie i zdecydował o konieczności rozmowy z Mussolinim.

Mussolini przez długi czas traktował Hitlera jako swój atut. Przez pierwszy okres władzy nazizmu Włochy dawały do zrozumienia b. aljantom, iż władne są wpływać na takie lub inne decyzje niemieckie, że są w stanie hamować ich nadmierny temperament czy... apetyty.

Od wyjścia Niemiec z Genewy okazało się, że „atut" sam gra za siebie, a legenda o Mussolinim posiadającym decydujący głos doradczy wobec Hitlera prysła. Niemcy wyraźnie kierowały same swą taktyką, czasem szukając poparcia to w Londynie, to w Rzymie — ale wykazywały się rozpędem rodzimej buty, niehamowanej niczyją radą. Dziś rezultaty tej polityki stworzyły pozory izolacji Niemiec. Hitler dostrzegł to i nim ta izolacja mogłaby stać się faktem, postanowił spróbować porozumienia z krajem pod względem formy rządu najbliższym mu.

W tych warunkach Mussolini, akceptując *dziś* rozmowę, która kiedyś musiała dojść do skutku, ma prawo do niewątpliwej wdzięczności Niemiec. Przyjmując również przyjeżdżającego doń do Wenecji Hitlera — odzyskał nanowo wobec świata atut, iż może być słuchanym w Berlinie doradcą.

Co dały rozmowy weneckie, zobaczymy wkrótce — trzeba jednak pamiętać, że porozumienie włosko-niemieckie bez uregulowania stosunku do Austrji jest niemożliwe. A w tem „regulowaniu" kryją się zalążki niewątpliwego ustępstwa, a więc niepowodzenia polityki integralnej Hitlera. Mówiąc o sympatji Włoch dla Niemiec — nie należy przez zbytnie upraszczanie sprawy ułatwiać sobie wnioskowania.



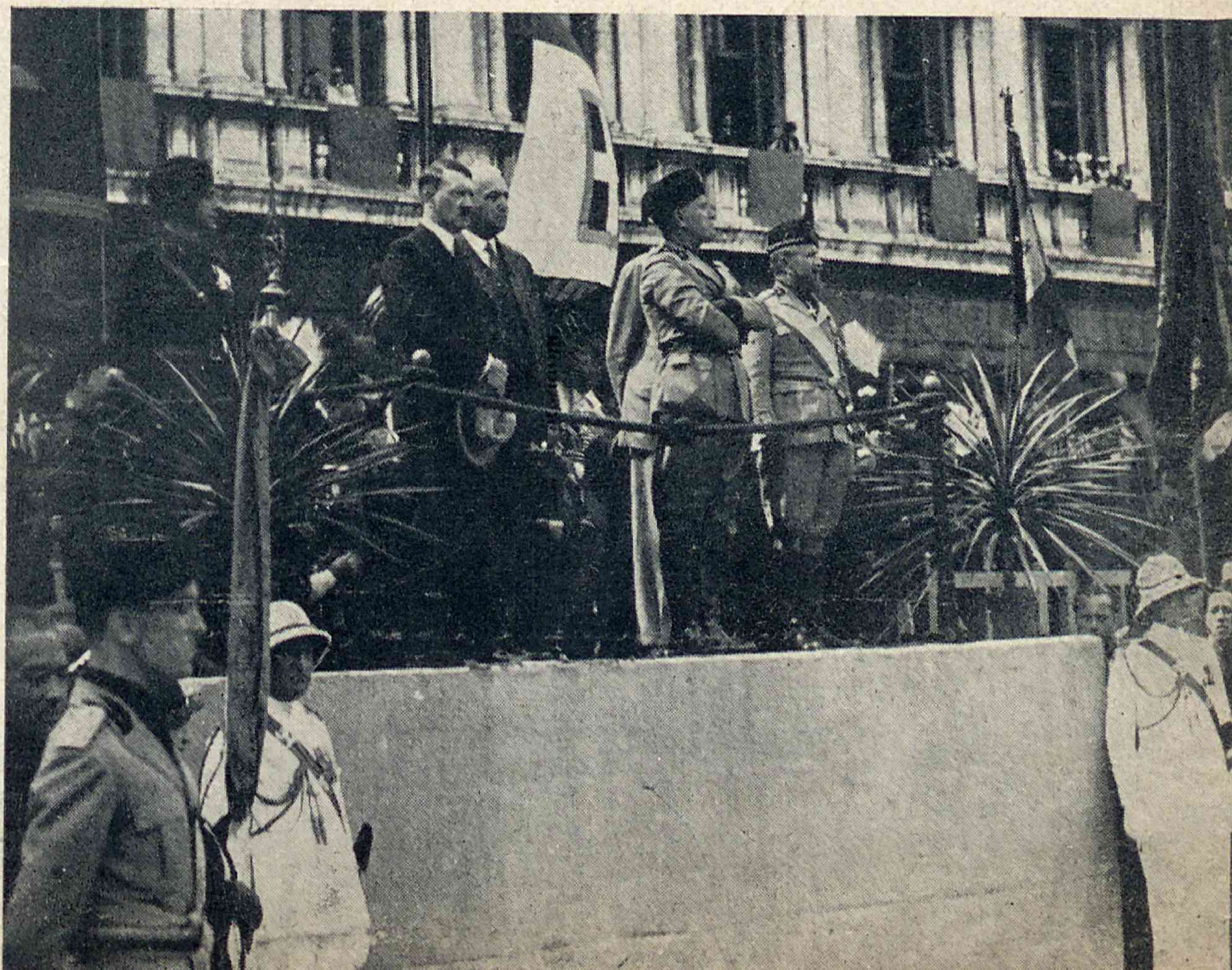
Mussolini wita Hitlera na lotnisku w Wenecji.

Włochy niezadowolone były i są z antysowieckiej polityki Niemiec, Włochy krytykowały Niemcy za opuszczenie Ligi Narodów, bo to pomieszało karty genewskiej gry Włoch, Włochy niemile widzą zbliżenie francusko-sowieckie (uważając to za konsekwencję polityki niemieckiej), bo Włochy były dotąd pierwsze i najbliższe Sowietów i Turcji, Włochy pomimo akcji prasowych swych „antyfrancuzów" ła-



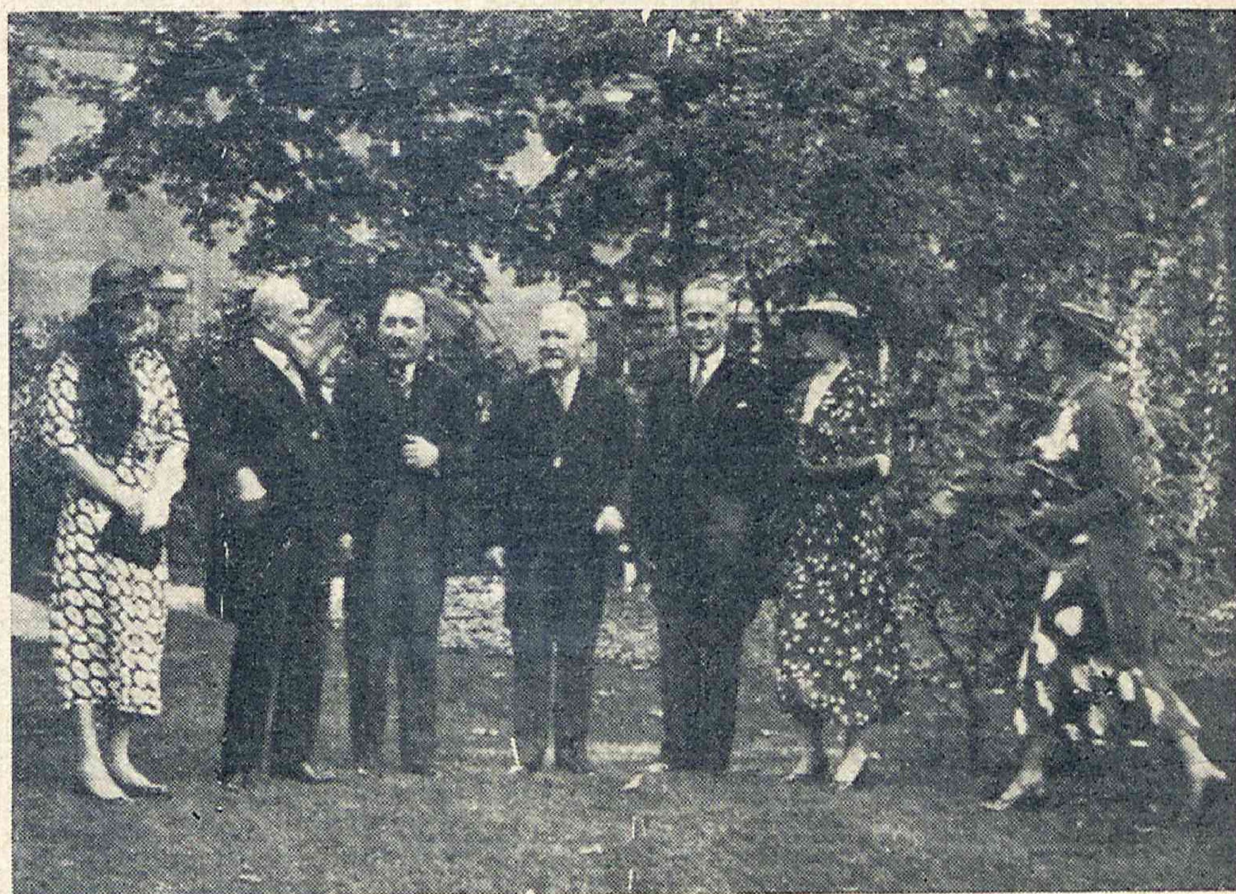
Duce i Führer przyglądają się rewji organizacji młodzieży faszystowskiej na Placu św. Marka w Wenecji



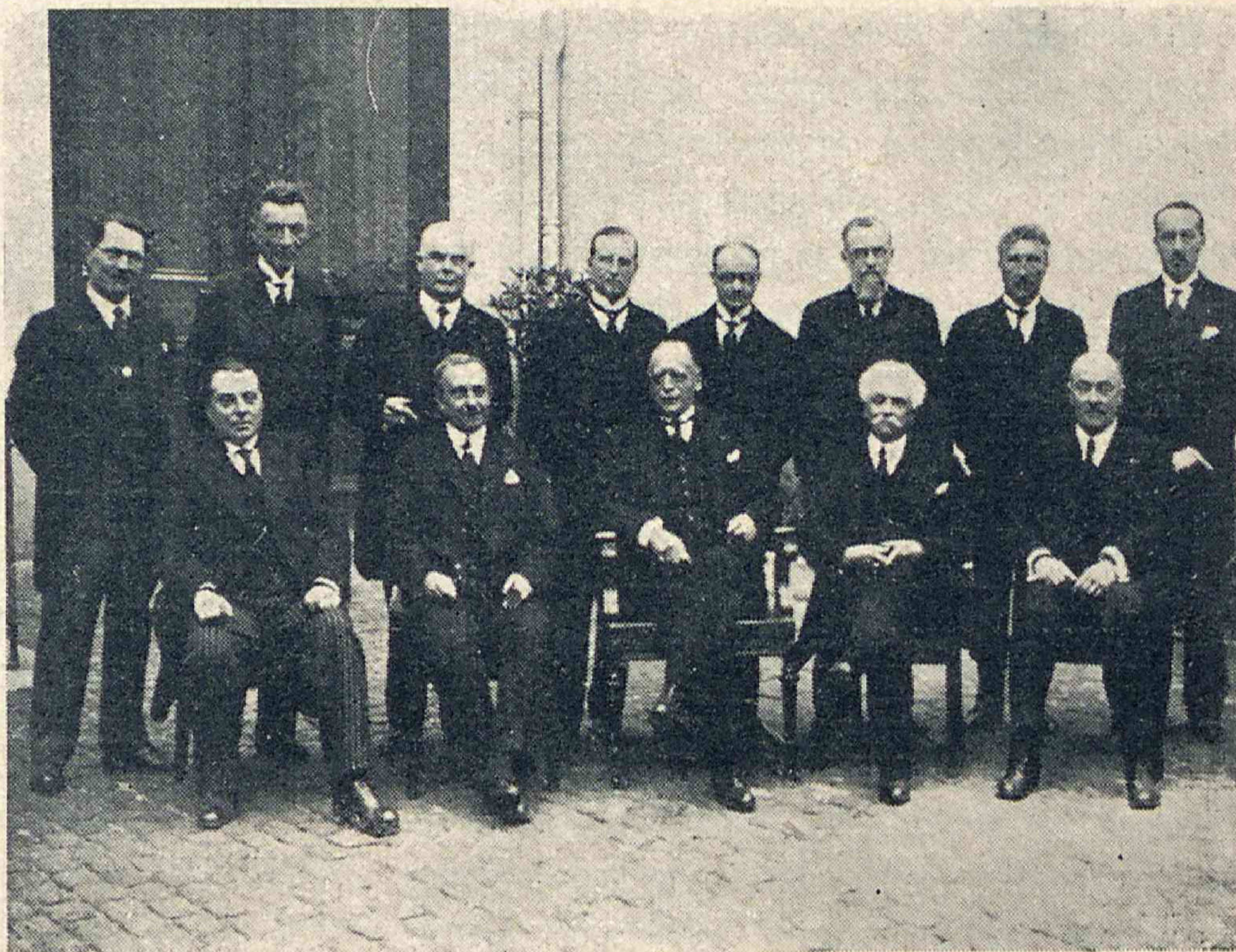


twiej tolerują wpływy Francji na Bałkanach, niż ekonomiczną ekspansję Niemiec na ten teren. Te wszystkie realne zastrzeżenia Włoch trzeba zawsze widzieć dokładnie, gdy się chce ułatwiać sobie rozważania polityczne rzekomą filoniemieckością Włoch.

Polityka Włoch — dla cudzoziemca — może być czasem niezrozumiała, może dawać pole do krytyki, może być spaczona przez ambicję, ale zawsze była i jest bardzo realna. W pewnym okresie atutem było balansowanie między Anglją i Francją, w innym arbitrażowanie między niemi; atutem było uznanie Sowietów, atutem zwalczanie Ligi Narodów; atutem popieranie rewizjonizmów, atutem sympatje dla Hitlera, atutem kampanje antyfrancuskie. Atuty można wygrywać, można tracić. Ale najistotniejsze jest to, że przy ciągłej grze — *każde rozdanie kart zmienia atuty*. O tej prawdzie Włochy w swej polityce nie zapominają. Dlatego to Hitler, jadąc do Wenecji, udawał się na wyprawę... po deskę ratunku, Mussolini mógł mu ją ukazać, ale napewno nie umocnił jej po obu brzegach Canale Grande.



Min. Spraw Zagranicznych Jugosławji Jewticz podejmowany był śniadaniem na Quai d'Orsay w Paryżu. Stoją od lewej do prawej: Pani Jewticz, min. Barthou, min. Jewticz, prez. Doumergue, poseł Czechosłowacji Osuski, Pani Doumergue



Nowy gabinet belgijski. Premjer de Broqueville — siedzi pośrodku

Zjazd Rodziny Wojskowej

Dnia 30 i 31 maja r. b. odbył się w Warszawie Zjazd Rodziny Wojskowej. Obszerna sala Kasyna Oficerskiego przy ul. Szucha wypełniła się po brzegi przedstawicielkami poszczególnych Kół oraz zaproszonymi gośćmi. Otwarcie Zjazdu odbyło się w obecności pani Marszałkowej Piłsudskiej oraz ks. biskupa Gawliny.

Depesze powitalne nadesłali: Pani Prezydentowa Mościcka, generalicja oraz liczni dygnitarze państwowi. Przemówienia witające Zjazd wygłosili: ks. Mauersberger, prezydent Kościałkowski oraz delegaci zaprzyjaźnionych stowarzyszeń.

Następnie odczytane zostało sprawozdanie za rok 1933/34.

Ze sprawozdania tego wynika, że Rodzina Wojskowa jest jedną z najliczniejszych, bo aż 16.960 członkiń liczącą organizacją kobiecą w Polsce. Posiada ona 132 koła prowincjonalne i rozwija się szybko z roku na rok. Działalność stowarzyszenia skupia się w wydziałach: opieki nad dzieckiem, kultury i oświaty, uświadomienia obywatelskiego, przysposobienia wojskowego, pracy, prasy i zdrowia. Wydział opieki nad dzieckiem prowadzi 88 przedszkoli i 91 klas szkoły powszechnej. Wydział uświadomienia obywatelskiego przygotowuje kobiety do pracy w samorządach i uzyskał już szereg mandatów dla swoich członkiń. Wydział przysposobienia do obrony kraju prowadzi kursy obrony przeciwgazowej ratownictwa, higjeny i strzelectwa. Rodzina Wojskowa jest więc jednem z najbardziej ruchliwych i najbardziej pożytecznych naszych stowarzyszeń kobiecych.

Dawny zarząd, który pracował pod przewodnictwem pani gen. Fabrycowej, podał się do dymisji. Zjazd jednak dymisję tę odrzucił i olbrzymią większością głosów wybrał ponownie ten sam zarząd. Wyboru jednak ustępujące członkinie zarządu nie przyjęły, wobec tego wybrano nowy zarząd z przewodniczącą p. Norwid-Neugebauerową na czele.

Jedną z pierwszych uchwał nowego zarządu jest postanowienie, iż celem pracy Rodziny Wojskowej ma być odtąd przedewszystkiem uspołecznienie członkiń, nie zaś samopomoc, jak to było dotychczas. Charakterystyczna ta zmiana statutu świadczy, iż Rodzina Wojskowa wkracza na tory szerszej działalności społecznej i państwowej. Życzymy sympatycznej tej placówce dalszego rozwoju!

W Paryżu na domu, w którym mieszkał Adam Mickiewicz, została wmurowana pamiątkowa tablica. Ambasador Chłapowski przemawia podczas tej podniosłej uroczystości.



Z WYDAWNICTW ARTYSTYCZNYCH

Przeżywamy okres kulturalnego zdziczenia. Kto jest odmiennego zdania, niech porozmawia z pierwszym lepszym maturzystą czy akademikiem na temat malarstwa, architektury, muzyki, a choćby nawet historji. Ten sam młodzieniec, który bez zająknienia wyliczy rekordy Walasiewiczówny czy Nurmiego, popłącze najhaniebniej Bramanta z Brantôme'em, a kapitele z Kapitolem. Dzieła z zakresu estetyki i historji sztuki nie mogą liczyć na powodzenie finansowe, tem większą przeto mają zasługę wydawcy, którzy podejmują prace tak idealnie nierentowne. Kilka książek wydanych ostatnio zasługuje na szczególną uwagę.

HAMANN. *Dzieje sztuki od epoki starochrześcijańskiej do czasów obecnych. Przekład M. Wallisa. Wyd. M. Arcta.*

Dzieło Hamanna, którego wydanie podjął dom wydawniczy Arcta, jest pracą już samemi rozmiarami poważną: zapowiedziano nam w dziewięciu zeszytach ponad 1100 stronic druku, przeszło 1400 ilustracji. W kraju ubogim w dzieła sztuki, w kraju pozbawionym muzeów, a temsamem i kultury artystycznej, ukazanie się dzieła o takim zakroju wypełni dotkliwą lukę w wykształceniu niejednego miłośnika sztuki, — ba, i niejednego artysty...

Dotychczas ukazały się dwa pierwsze zeszyty. Nie pozwalają one jeszcze na omówienie całości dzieła, ale już dają pojęcie o metodzie autora, o zewnętrznej szacie wydawnictwa, oraz o wartości przekładu.

Metoda Hamanna, profesora Uniw. w Marburgu, człowieka dziś pięćdziesięciokilkoletniego, zastanawia młodzieńczą rzutkością i rewolucyjnością historyczną. Książka jego napewno nie jest *elementarzem* historji sztuki i ktoby pragnął swego pierwszego zetknięcia z tą dziedziną dokonać przy pomocy dzieła Hamanna, doznałby może trudności. Trudności te wypływałyby przedewszystkiem z nastawienia samego autora, który przywykł przemawiać do audytorjum odpowiednio przygotowanego, przeto nie krępuje się podawaniem abc dziejów sztuki, lecz raczej oświetla i tłomaczy je ze swego punktu widzenia.

Na to, aby móc *odrzucić* za autorem dotychczasowy podział historji sztuki na epokę starochrześcijańską, bizantyńską, romańską, gotycką, renesans, barok etc. — trzeba te epoki (jako dotąd ogólnie przyjęte), *dobrze znać* — i dopiero opierając się na poprzednio już posiadanych wiadomościach, oznaczać je za Hamannem innemi zgoła mianami.

Zazębianie się bowiem i przeplatanie epok między sobą w zależności od historji politycznej narodów i od przemian społecznych — to splot kierunków i stylów, którym, według Hamanna, wcale nie odpowiada dotychczas przyjęta chronologja i terminologja. Nic dziwnego, że autorowi potrzeba aż 70 stron na wstępie książki, aby uzasadnić swój punkt widzenia i przygotować czytelnika... do odrzucenia dotychczasowej wiedzy.

Więc np. za pierwszy renesans antyku uważa on epokę Karola Wielkiego, „pierwszy wielki i podstawowy renesans w nowszych dziejach ludzkości" — jak pisze.

Ponieważ mianem Renesansu oznaczano dotąd sztukę poczynając od wieku XV, — epoka karolingowska zaś, to wiek IX, — łatwo uprzytomnimy sobie, jak wiele nieporozumień powstaćby mogło dla czytelnika nieprzygotowanego, który tylko „słyszał, że dzwonią, ale nie wiedział, w którym kościele".

Renesans w dotychczasowem znaczeniu określa Hamann jako „wczesny naturalizm", i tak go łączy z epokami późniejszemi: „Ten wczesny naturalizm znajduje swój ciąg dalszy w naturalizmie malarstwa holenderskiego za czasów Rembrandta, a więc Masaccio w swem ujęciu przestrzeni, podobnie jak Jan van Eyck, jest poprzednikiem Rembrandta, nie zaś Rafaela lub Michała Anioła". Czytelnik bez solidnej podstawy historyczno-estetycznej pogubi się niechybnie w tych parantelach, chociaż klasyfikacja Hamanna stale jest uzasadniona logicznem rozumowaniem i poparta wieloma doskonale dobranemi ilustracjami. Dlatego, jeśli nie zawsze się na nią w całej pełni zgodzimy, zawsze jednak znajdziemy u autora interesujące ujęcie, bogatą wiedzę i zupełny brak skostnienia w przesądach.

Szata zewnętrzna książki staranna.

Przekład M. Wallisa dobry, a nie było to zadanie łatwe: język oryginału spiętrzony, myśli autora dość skomplikowane, nowość nomenklatury — oto pierwsze rafy, o które mogła rozbić się łódź tłomacza. Wyszła z tej opresji cało, obiecując nam już po dwu pierwszych zeszytach możność pełnego wniknięcia w swoisty świat estetyki Hamanna.

GRAFIKA — *rocznik 1933.*

Wydawany od lat trzech kwartalnik „Grafika" — to sztafeta z uporem i wytrwałością wysyłana na pustynię obojętności naszego społeczeństwa wobec tej arystokratycznej formy sztuki.

Właściwie bowiem żyjemy jeszcze w czasie przełomowym, gdy amatorzy i kolekcjonerzy sztuki, zwykle zarazem posiadacze cennych obrazów, dzieła graficzne przeważnie trzymają w tekach, bo jakżeż mają nimi tapetować mieszkanie? Zaś „najszerszy ogół" tak bardzo jest jeszcze nieuświadomiony, że woli wydać dwa razy po 10 złotych na mdły oleodruk, niż raz 20 złotych na wartościową pracę autentycznego artysty. Dla kogóż więc ci ludzie wytrwali, Franciszek Siedlecki i Tadeusz Gronowski, wydają swoje piękne zeszyty?

Na to pytanie właśnie niezawsze znajdujemy odpowiedź na kartach „Grafiki".

Najistotniejszym zarzutem, jaki jej uczynić można, jest zarzut niejednolitości poziomu. Niezupełnie planowa selekcja materjału powoduje np., iż w tym samym zeszycie znajdujemy fachowy, obszerny i raczej dla specjalistów przeznaczony artykuł o drukowaniu map (40 stron tekstu i 26 ilustracji), a obok krótki artykuł ś. p. Skoczylasa o drzeworycie, zupełnie popularny, wyłącznie dla laików przeznaczony. W innym zeszycie znajdujemy uczczenie 20-lecia pracy artystycznej Skoczylasa więcej niż skromne: artykulik, w którym jest 50 wierszy o Wieliczce i 13 (słowami trzynaście) o sztuce Skoczylasa. Do tego 8 ilustracji. I już.

A zaraz dalej bardzo zresztą estetycznym wycinankom z Bibljoteki Narodowej i fenomenalnym pod względem kompozycji i wykonania wycinankom prof. Oskara So-

snowskiego poświęcono 20-stronicowy artykuł. Prace te są istotnie rewelacyjne, nieprawdopodobne w swej subtelności, — jednak i Skoczylas zasłużył jako grafik na obszerniejsze omówienie i zilustrowanie.

Jeżeli stawiamy tu zarzuty pewnych niedociągnięć, to przedewszystkiem dlatego, że „Grafika" jako wydawnictwo stoi na bardzo wysokim poziomie, i można od niej oczekiwać perfekcji. Nietylko doskonały papier i świetne ilustracje składają się na zewnętrzne walory zeszytów. Są pewne inowacje drukarskie, które człowiek współczesny wita jak upragnione ucieleśnienie marzenia. Więc np. bardzo nowoczesne, dające odpoczynek wzrokowi, skasowanie uskoków w „acapitach". Nie wiem, czy i inni czytelnicy walczyli z tą zmorą: przyznam się, że od najwcześniejszego dzieciństwa podświadome kasowanie uskoków przy acapitach i matematyczne wypełnianie ich odpowiedniemi kawałkami tekstu było (i jest) wtórną, nieświadomą pracą oczu, która mi przeszkadza *i myślowo* przy czytaniu najbardziej nawet absorbującego tekstu. „Grafika" dała mi wyzwolenie.

Z rzeczy cennych i ciekawych wymienić należy w roczniku ubiegłym przypomnienie działalności Norwida jako plastyka, ilustrowane wymownie przeszło pół setką jego prac. Dalej—seręj dawniejszych plakatów Gronowskiego, z których najbardziej wartościowe pod względem kompozycji wydają mi się plakaty dla fabryki broni i dla firmy samochodowej. Plakaty te o całe niebo przewyższają tę serję, którą obecnie oglądamy w IPS-ie.

Interesujące dla miłośników są wywody Jabłońskiego o „Chińskim drzeworycie ludowym" i dłuższe studjum o grafice Cieślewskiego-syna. Niezwykle wymownie ilustrowany jest artykuł Strzemińskiego o „Druku funkcjonalnym", dobre układy drukarskie Goryńskiej, oraz ciekawe rezultaty konkursów na plakaty, blankiety firmowe i katalogi. Sprawozdania z działalności pedagogicznej w zakresie grafiki w Szkole Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej (kurs prof. Bogny Gardowskiej i Podoskiego), oraz Salezjańskiej Szkole Rzemiosł przynoszą materjał nieznany, a godny poznania.

Słowem — „Grafika" jako wydawnictwo artystyczne odznacza się nietylko wysokim poziomem, ale i rozległą skalą zainteresowan.

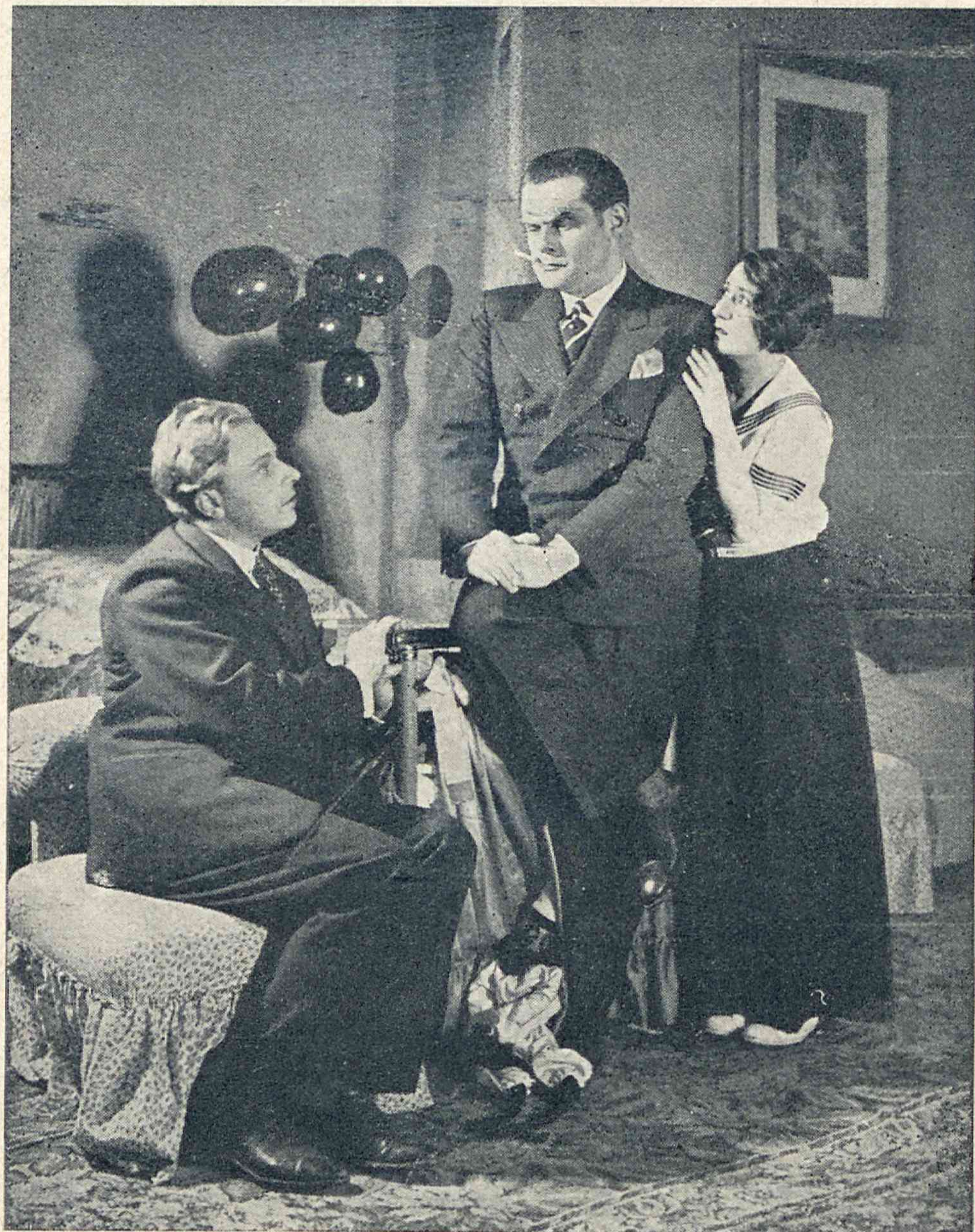
Z. Norblin-Chrzanowska.



„Migo" Acharda *w teatrze Nowym grana jest z dużem powodzeniem. Kurnakowicz, Hnydziński i Jarkowska*

Fot. Malarski





Z TEATRÓW STOŁECZNYCH



„Giuditta" Lehara w Operze.

W rolach głównych Dobosz i Karwowska

Fot. Malarski





ZBIGNIEW GRABOWSKI

LIST Z KRAKOWA

(Korespondencja własna „Świata")

II

Krzątają się robotnicy około gmachu nowej Bibljoteki Jagiellońskiej, która staje pod nadzorem inż. Krzyżanowskiego. Będzie ona nareszcie godnem i przestronnem pomieszczeniem dla wspaniałego księgozbioru, cisnącego się w nieodpowiednich salach, źle sklepionych i źle wietrzonych. Jak nam to niedawno przedstawił inż. Krzyżanowski w odczycie zorganizowanym przez Tow. Przyj. Bibl. Jagiell., nowy gmach, pomyślany celowo i pięknie, zabezpieczy w pełni zarówno dobro książek, jak i pracę naukowców i młodzieży.

Krzątają się wreszcie robotnicy przy trzeciej rzeczy — już nie budowie lecz rozkopalisku — na kopcu Krakusa, którego wnętrze może rzucić ciekawe światło na proces pierwotnego osiedlenia miasta Krakowa. Postęp badań kopca Krakusa przyniesie napewno niejeden szczegół nowy i cenny.

Wśród mniej monumentalnych robót warto wspomnieć o powstającej w ciszy i milczeniu nowej sali wystawowej. Oto Związek artystów-plastyków, pogniewawszy się trochę na Pałac Sztuk Pięknych, postanowił wznieść własny gmach, coś na kształt warszawskiego IPS-u. Na darowanej przez magistrat posesji przy ul. Łobzowskiej rośnie sobie za parkanem z drzewa pawilon, który pomieści pono: salę wystawową, kawiarnią i salę teatralną. Ta ostatnia przewędrowałaby z ciasnych ubikacyj przy pl. Ducha (Dom Artystów), gdzie ruchliwi malarze krakowscy wystawiali liczne sztuki eksperymentalne w teatrzyku zwanym „Cricot" (zbitka wyrazowa ze słów: „cri" — krzyk i polskiego... kot — tak mnie przynajmniej objaśniano — za dokładność nie ręczę...). „Cricot" zyskał pełny sukces, skoro w skromnej i niezbyt wonnej salce roiło się od widzów, słuchających nieraz mocno dziwacznych sztuk i sztuczek już to przez snobizm, już to przez żądzę nowości lub wrodzoną łagodność. Zasługą „Cricotu" będzie pokazanie sztuki Witkiewicza i Czyżewskiego, dalej wydobycie talentu Józefa Jaremy, członka grupy „Kapistów", który ma stanowczo coś do powiedzenia na scenie.

Tow. Sztuk Pięknych, od którego odwraca się radykalna grupa malarska, poniosło ciężką stratę przez śmierć człowieka prawego, pełnego inicjatywy, pisarza dobrego i światłego: Artura Schröder a. Zrośnięty ze Lwowem, przyszedł do Krakowa ożywiony najlepszemi chęciami i w krótkim czasie pozyskał sobie sympatję wielu. Na stanowisku dyrektora Tow. Przyj. Sztuk Pięknych zdobył zasługi nieprzemijające. Padł ofiarą intryg i zawiści, — nie wytrzymał nacisku stawianych zbyt pochopnie zarzutów. Dziś powstała wielka luka po tym człowieku gorącego serca. Tow. Przyj. Sztuk Pięknych, chcąc uniknąć wszelkich tarć na przyszłość, zamianowało następcę śp. Schrödera w osobie dyr. Kramarczyka, który ma zamiar wykonywać czysto urzędowo swą funkcję. Zobaczymy, jak mu się to uda w zawistnym i trudnym świecie sztuki.

Spokojnie — może zbyt spokojnie — minęły dni przed nominacją na dyrekturę krakowskiego teatru. Dyr. Juljusz Osterwa, który podobno przedtem posunął już daleko swoje pertraktacje na terenie Warszawy — został dyrektorem na rok przyszły, zachowując dyr. Bujańskiego, jako dyrektora administracji. Decyzja ta nie spotkała się wszędzie z zachwytem. Osterwa, jako dyrektor, był już wielokrotnie przedmiotem ataków i zarzutów z powodu ospałości linji repertuarowej, która często była linją wypadkową i wahała się między wzlotami wielkiego repertuaru a płaskiemi farsami. Kierownictwo teatru nie zadało sobie trudu, ażeby wyłowić z literatur obcych rzeczy istotnie wartościowe; w ostatniej chwili ratowano się stale—przetrawionemi przez Warszawę nowościami.

A jednak Kraków chce dobrego teatru i umie go ocenić, o czem najlepiej świadczą występy gościnne wybitnych aktorów albo zeszłoroczna wakacyjna wizyta teatru lwowskiego, która cieszyła się prawdziwem powodzeniem. Teatr krakowski zakrzepł w rutynie, brak mu inicjatywy zarówno w zespole, nieodświeżanym od lat, jak i w szkielecie programowym. Przydałby się tu jakiś niespokojny, fermentujący reżyser, jak n. p. we Lwowie Radulski, przydałby się tu jakiś młody talent, któryby wytyczył nowe tory programowi.

Nawet jednak i marastyczna scena krakowska czasami wyłowi perłę. Oto ostatnia premjera: sztuka L. H. Morstina, — autora przemiłej „Dzikiej pszczoły" — „Rzeczpospolita poetów" była sukcesem niewątpliwym zarówno aktorskim, jak reżyserskim. Oprawa Frycza dodała szlachetnej i niezmiernie pięknej w wysłowieniu i formie sztuce Morstina polor i blask.

Świat literatury uspokoił się jakoś po emocjach pierwszej nagrody m. Krakowa, która zaostrzyła apetyty niejednego. Przyszedł normalny marazm, rozjaśniony kilkoma wieczorami recytacyj, zawsze mile widzianemi, dobrym wieczorem satyry politycznej „Europo uśmiechnij się!"—i to bodaj wszystko. Jedyne pismo literackie Krakowa: „Gazeta literacka" po ideowem afiljowaniu się z warszawskim „Zetem" jeszcze bardziej zatraciła kontakt z rzeczywistością i stała się jeszcze ciaśniejszą kapliczką wybranych talentów. Pismo to nie spełnia dalej właściwej roli na gruncie Krakowa. Związek literatów nie urządza interesujących wieczorów autorskich (poza jednym bodaj wieczorem i dwoma oderwanemi odczytami), dyskusyj, któreby animowały miasto. Podobnie i Syndykat dziennikarzy nie gra w życiu miasta roli, do jakiej byłby powołany.

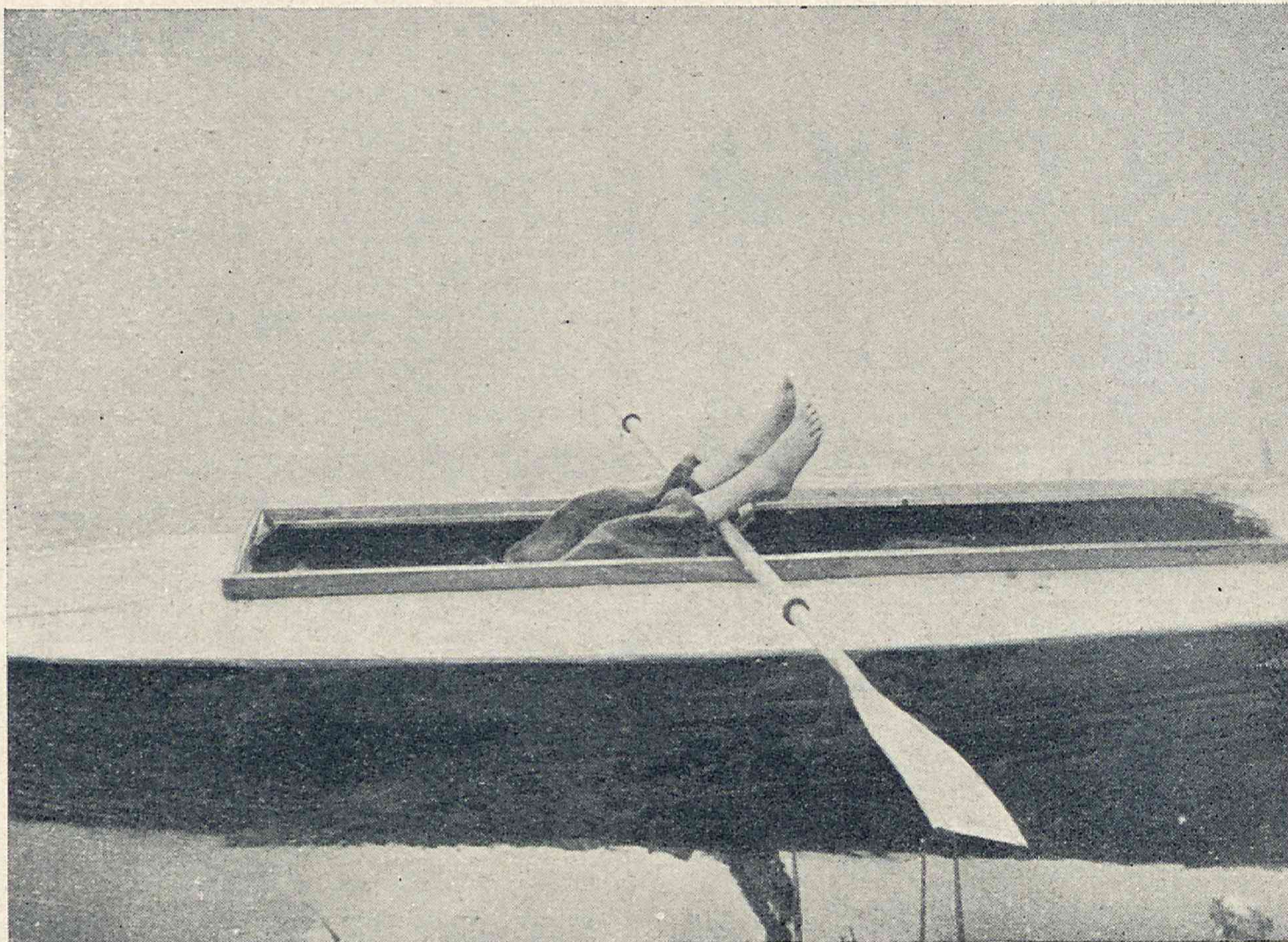
W tych warunkach życie umysłowe i literackie Krakowa ulega dalszemu zamarciu, rozbija się na drobne atomy i wybiera sobie dalej stolik kawiarniany jako miejsce dyskusyj, narzekań i inwektyw. Brak jest trybuny dla młodych talentów, brak ubitej ziemi do zetknięć bujnych temperamentów. Może kawiarnia artystów - plastyków stanie się z czasem zalążkiem jakiejś szerszej akcji? Zobaczymy.

W pracowniach literackich Krakowa też dosyć głucho. Rzetelny i mocny pisarz Tadeusz Kudliński pracuje pono nad powieścią z dziejów powstań polskich, Jan Wiktor, dzielący się między Pieniny a Kraków, kończy powieść z życia chłopów pienińskich, Kurek zapowiada wydanie swojej chłopskiej powieści, gdzie — jak sądzić można z wyjątków — talent jego wypowie się najpełniej i najszczerzej. Kazimierz Czachowski wydaje w jesieni dokończenie swojej pięknie pomyślanej i nader solidnej w ocenie literatury współczesnej Polski. Oto zdaje się i wszystko.

MELCHJOR WAŃKOWICZ.

NA WODZIE

POD WARSZAWĄ



„sterczały obrażone pięty...

Dobry Bóg ciekawość rozlał równomiernie po świecie. Długie lata myślałem, że ciekawość jest tam, gdzie nas niema. Z każdego wyjazdu za granicę produkowałem dosyć obfite korespondencje. Czytelnicy z zadowoleniem dowiadywali się o tem, co im i bez tego było wiadome — że w Holandji kwitną tulipany, że fjordy norweskie rzucają cień na czarną wodę, że Neapolitańczycy wymyślają swemu patronowi, Hiszpanie krzyczą „Ole". a Meksykańczycy chodzą w olbrzymich kapeluszach. Jak aktorskie role bywają „samograje", tak tego rodzaju korespondencje są samopisami.

Słuszna jest zasada, że „ciekawie jest tam, gdzie nas niema", ale przekonałem się, że nas równie dobrze niema w Polsce, jak na Capri. Narazie myślałem, że należy wyszukiwać egzotyczne zakątki Polski. Zwolna, zwężając zasięg eksploracyj, przekonałem się, że „niema nas" niemal wszędzie... I wszędzie można bawić się w Livingstona.

Ot, choćby znienacka wyjazd Wisłą. Siedliśmy z dwunastoletnią córeczką w kajak w sobotę niemal expromptu. Zmierzchało. Była cisza, więc maszt i żagiel umieściliśmy we wnętrzu kajaka. Spłynęliśmy z wodą.

Wehikuł z Ickiem i ciceronami.



Czy wiecie, co to jest spływać z wodą? Dobrym koniem ledwo kłusem wydąży. Tylko te siedem świateł zielonych płynie górą prędzej od nas. To jakaś eskadra odbywa lot nocny. W zaroślach drą się jak opętane słowiki, w powietrzu stoi żabi kumk.

— Co ona myśli, tak się wydzierając? — pyta moja towarzyszka.

— To samo co i my...

— To znaczy, że jest bardzo przyjemnie...

Gdzieś z pod Jabłonny wytryskają cztery białe słupy reflektorów. Szukają po niebie. Zielone światła aeroplanów gasną. Noc jest wyiskrzona i czarna i trzeba czuciem odgadywać mielizny i piaszczyste wysepki. Bachor musi kilkakrotnie wyłazić i holować grubego tatę. W pewnym momencie tuż niemal przed kajakiem wyrastają czarne sylwety. To — piaskarze.

— Gdzie jedziecie, czy pracy szukać? — pyta ochrypły głos.

— Tu chodźcie, tu jest katorga na wolności...

Błyska pióro kajaka... A więc to spacerowicze. Z czarnych łodzi bije teraz fala nienawiści i przekleństw.

Minęło. Prąd zniósł. Mijamy świecące w noc niby wezwaniem o ratunek gorejące po mieliznach puste bezradne parowce. Mała woda... I znowu ciemń. Tylko gdzieś na wysokiem niebie zapala się czerwone światło i pędzi szybko ukosem ku Jabłonnie. Białe reflektory układają się nisko jak psy i nastawiają uszy.

Nad brzegiem gra orkiestra. To niemcykoloniści na cmentarzyku wiejskim chowają dziewczynę. Taki u nich zwyczaj.

Kiedy mijamy piaszczyste ławice, skądciś się nagle podrywa wał pędzącej wody i uderza w kajak. I znowu cicho, bo już słowiki i żaby stają się jednym dźwiękiem, stojącym w nocnej ciszy.

Niechybny to znak, że memu Sancho Panchy zbiera się na biwakowanie.

Wypatrujemy miejsce, które w ciemności znaleźć nie tak łatwo. Żeby nie sam piasek, bo nie będą trzymały kołki od namiotu i żeby nie mokro ale żeby i niezbyt stromo, bo składak musi być podciągnięty pod namiot.

Wreszcie jest. Przyświecając latarką, wznosimy nasz ruchomy dom. Wysoko na bambusowej poprzeczce płonie latarnia. Układamy się w śpiworach na nadętych gumowych materacach. Przez otwarte okno namiotu, zasłonięte siatką od komarów, wchodzi rzeźkość nocy. Parę łyków z termosa. Dzieciak uwiązał cumę, idącą od dzioba do pięty. „Jak będą kraść, to się obudzę". — „Żeby tylko ciebie za piętę nie wyciągnęli wraz z kajakiem". Nie broni się, bo już śpi. Ja też.

Gdy rano budzę się, widzę w wylocie otwartego namiotu siedzącą małą figurę, smażącą befsztyk. Dalej drga srebrzysta masa wody. Jest piąta rano. Z drugiego brzegu gdzieś popasające w Jabłonnie słońce bije ukośnemi promieniami w czarne sylwety rybaków nadjeżdżających z wody. Są to kłusownicy wodni, za którymi węszą czujne policyjne motorówki. Łapią tylko łososie na sieć o bardzo szerokiem oku. Za taką sieć w razie wpadunku mniej się odpowiada. Trzeba żyć!

Kiedy pakujemy ostatnie manatki i spychamy się na wodę, przyjeżdżają chłopi pławić konie. Zdrowy parsk idzie po fali. Ludzie za przykładem szkap płyną wodą, wyrzucając kozacką manierą ręce.

— Chce wam się w tej wodzie kąpać? Toż kolektor Bielański nie dalej, jak o dziesięć kilometrów.

Odpowiadają fachowo. Przeznali warszawiaków, których godzina zaczyna się koło siódmej rano. „Znakiem tego" do nich „to" dopływa koło pierwszej w południe. Ano, w każdym interesie istnieją passy i bessy.

Białe rybitwy zwijają się nad kajakiem raz po raz w hak i dziobem w dół pionowo wpadają w wodę. Czarne gawrony, majestatycznie powłócząc spadającemi pantalonami, chodzą brzegami ławic.

Na środku Wisły pływa dzika kaczka—nur. Przy zbliżaniu się kajaka znika pod wodą i wypływa o setkę kroków w dół. Zabawa ta powtarza się po kilka razy i przypomina, jak szosą przed autem pomykają szaraki, urzeczone światłem reflektorów; wyprowadzałem je zwykle za rów reflektorem bocznym. Teraz mamy ze sobą flower, ale nie strzelamy nietylko kaczki, chronionej prawem, ale i pana gawrona i pani rybitwy. Wszystkim nam jest dobrze na tej wodzie. Nocą szły przed nami ognie aeroplanów; teraz, w

dzień, bure wieńce krzyżówek wyprzedzają nas w drodze ku Modlinowi.

W pewnem miejscu stoi budka na wodzie, a w okienku ma głośnik, a z głośnika ktoś gada po niemiecku, a potem po czesku. To obóz junaków. Lądujemy. Zapoznajemy się. Komendant nas oprowadza. Stu dwudziestu chłopa dziś się wałkoni, bo niedziela, ale kiedy nasz aparat zrobił do nich oko, nietylko robią piramidkę, ale i pokazują jak tu w dni powszednie tną łozinę.

Lądujemy pod Nowym Dworem pod wysokiemi dębami, na zielonej trawie. Światło sączy się przez konary. Mój Sancho Pancha, który ma się za dorosłą pannę, a ja mu mówię, że jest dzidziuś, zjada cytrynę z cukrem i oblizuje palce. Mój Rolleyflex to dokumentuje. Obraża się i idzie do kajaka, z którego sterczą obrażone pięty. I to dokumentujemy, jak widzą czytelnicy.



Sancho Pancha — ziewa smacznie po przespanej w namiocie nocy.

Teraz napętują nam się trzy cicerony z trzeciego oddziału szkoły powszechnej. Wiodą nas opłotkami z plecionej faszyny.

„Dobry płot jabłka kraść" rzeczowo stwierdza najmłodszy szkrab.

Chodzą na jabłka do kolonistów niemców, którzy tu mają wkrąg cieniste ogrody i zadzierzyste psy. Strzelają do chłopaków solą. Wtedy trzeba do Wisły lecieć i dwie godziny siedzieć. Oni są mali, starsi sobie radzą lepiej. W tych dniach poszli kraść, rzucali psu ochłapy; a potem Olek Kaźmierczak w jednej koszuli i kalesonach ręce wysoko podniósł i na psa się sunął, to ten się przestraszył i do budy uciekł. Olek za nim i za szyję złapał i udusił; a potem uduszonego psa na stryku powiesili na gałęzi i wynieśli całe wory. A tego psa to my rano widzieli, jak nim wiatr kręcił.

Mijamy jakiś sadzik, w którym na trawie siedzi rozamorowane towarzystwo.—O, ten chłopak, widzi pan, w tej czarnej marynarce, to wczoraj groził żydowi pędzącemu bydło nożem. Żyd chwycił za nóż, on nóż pociągnął i rozerżnął rękę do kości.

W pyle ulicy posuwamy się dalej do „śródmieścia" w coraz liczniejszej asystencji. Kupuję u żydówki trzem amatorom jabłek lody.

— Po pięć czy po dziesięć groszy?

— Jakie są naj... największe.

Za plecami zduszony szept zachwytu: „po dwadzieścia!..." Mój Sancho zdaje się, ma zadrę, że to tylko trzy porcje...

W restauracji pani Kiblerowej, Niemki, gospodyni przynosi na rynience skwarzące się smaczności. Jej synek nakręca grającą szafę. Szafa ma wymalowane piękne palmy na tle południowego nieba. Sancho Pancha wybiera ze spisu utworów „husia siusia", a kiedy kpię okrutnie z dzidziusiowych gustów, żąda grania „pancesse damur"; odpisałem dosłownie i myślę, że to zapewne po esperancku.

Wychodzimy, nastrojeni na różowo. Przed zakładem pani Kiblerowej siedzi na koźle pan Mowsza i uprzejmie na nas kiwa. Nazywa się Mowsza, mieszka na drugim końcu Nowego Dworu, gdzie dobiegła wieść, że przyjechali znakomici cudzoziemcy i karmią chłopaków lodami. Więc zabrał na kozieł wnuczka Icka i oto jest. Icek ma odstające uszy i wielkie oczy. Bierzemy do wehikułu trzech naszych guidów, dwóch jeszcze ich kolegów i wyruszamy w świat na poszukiwanie lodów i wogóle szczęścia.

A potem tyle już było przygód, że trzeba skracać narrację. Jak na statek wsiedliśmy, co się przepychał płytką wodą. Jak go goniły spłoszone, nadpływające od Warszawy kajaki. Jak ich kadłuby — błękitne i czerwone i oranżowe ociekając wodą windowały się na pokład. I jak stał statek burcząc i sapiąc godzinę i więcej i jak zdecydowałem się spuścić kajak na wodę i jak na szmaragdowym brzegu stał.. Mowsza i kiwał ku nam batem, ku nam, dobrym znajomym. I jakeśmy z tryumfem zajechali znów do pani Kiblerowej, brnąc po obu stronach faetonu i podpierając osuwające się pokrowce z rozebranym składakiem. I jak znów grała szafa i przysięgał nam miłość wstawiony pan plutonowy, którego poiły rekruty wystraszone o łbach różowiejących ze strzyżenia maszynką „OO". Piły rekruty, piłem ja, pił z nami Mowsza. Matka mówi, że już mi nie da Sancho Panchy na wyprawy. Ale przecież i dla dzieciaka znalazło się słówko wzniosłe. Nad szynkwasem Pani Kiblerowej ogromny biały orzeł niósł na piersiach okręt, a pod tem wszystkiem było morze, a pod morzem napis, że naród... że flota... Pytałem Mowszy co to jest, ale śmiał się obleśnie, węsząc gojowskie przekpinki. Pan plutonowy spojrzał na plakat i powiedział „tak jest..." z wielkiem przekonaniem i kazał rekruckiej mordzie wrzucić 20 groszy do szafy, która poczęła grać „bataljon warszawski". Co by powiedziały szpi[illegible]wane lodami chłopaki, nie wiem, bo ich nie wpuszczono do przybytku; co by powiedział Olek, wieszający psa, bandyta Wieliczkowski, chłopak, rozcinający żydowi rękę do kości — też nie wiem.

Polną drogą jechaliśmy do stacyjki. Żegnał nas Mowsza, pijany szczęściem i trzema i pół złotemi. „Taki dzień, taki dzień..." — powtarzał. Mały Icek patrzył swemi głębinnemi zastrachanemi oczami. Jak długo trzebaby go karmić lodami, żeby odrobić to spojrzenie.

Pociąg ruszył wiosennemi polami. Każda stacja wrzucała ludzi z bzem. Wróżyć chciałem bladej panience, która siedziała obok mnie, ale rękę miała pulchną w bezmyślności.

Sancho Pancho, ciągnąc z sapaniem bagaże z wagonu, zauważył: „różnych widzieliśmy ludzi".

„Dobrze jest, córeczko, na świecie" — zareplikowałem, czując przyjemne ciepło skóry, nagrzanej słońcem.

„Ciekawie"—powiedział Sancho Pancha.

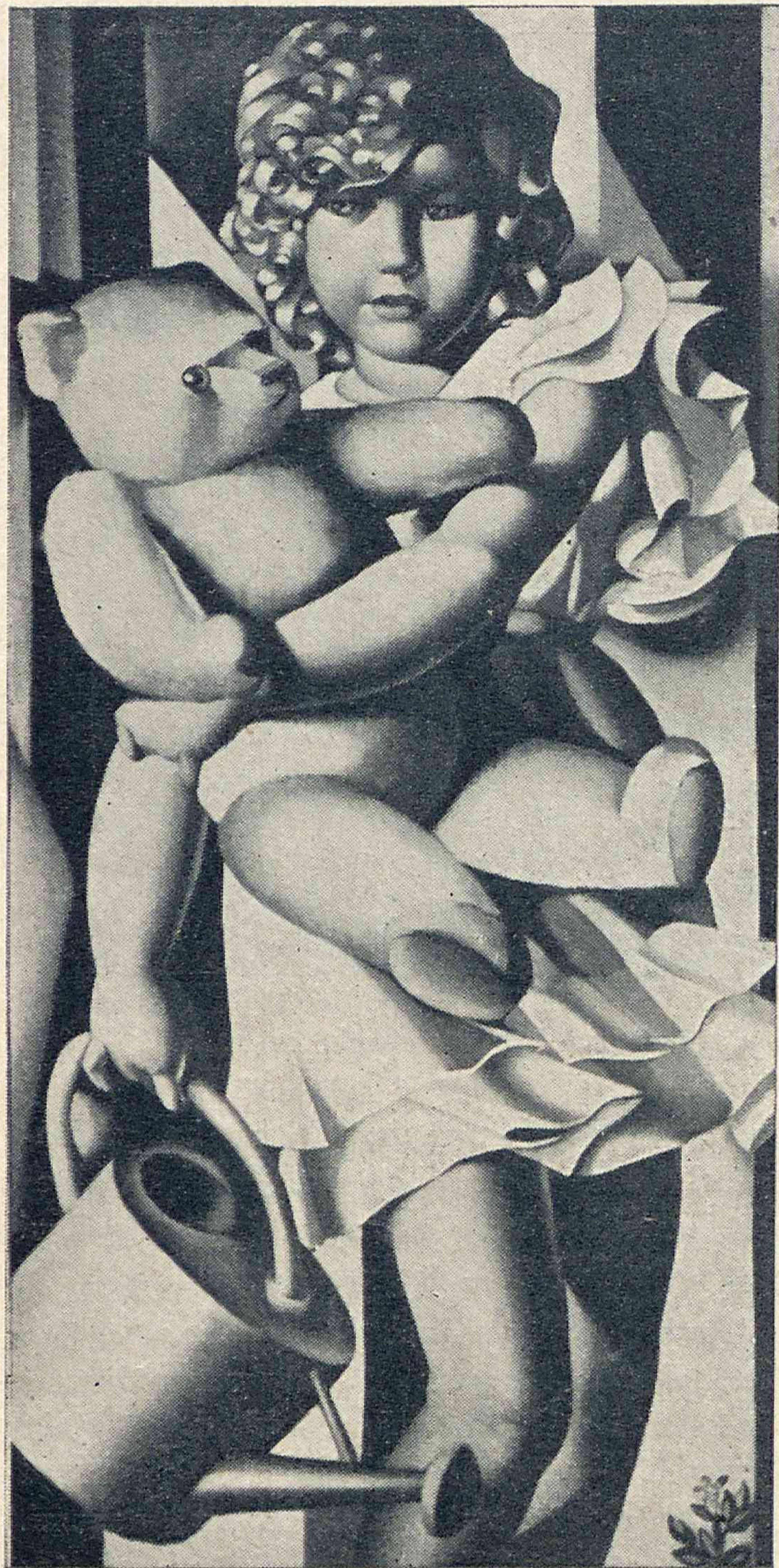
— Co on przez to chciał powiedzieć? — pytałem siebie w taksówce — uzupełnia, czy poprawia?

Ale Sancho Pancha spał.

Lody po całe 20 groszy!



SALON DES TUILERIES

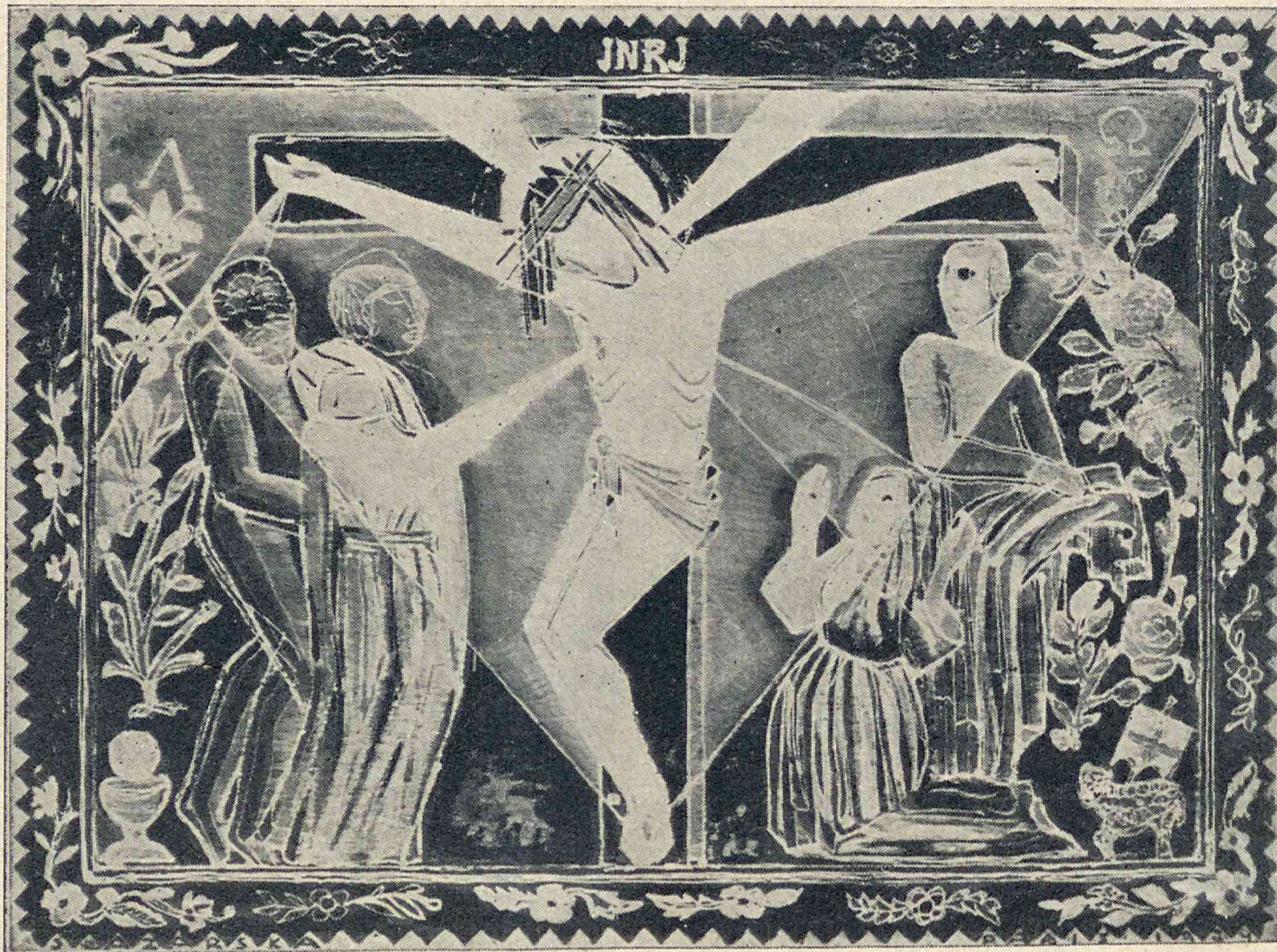


Tamara Łempicka. Portret dziecka.

Została mu tylko nazwa, bo nie wystawia on już od lat paru w Tuileries. Obecnie mieści się w rodzaju garażu przy zbiegu ulicy Campagne-Première i bulwaru Raspail, niemal w samem sercu dzielnicy Montparnasse. Uważany za salon awangardy artystycznej, bardzo odpowiednio znajduje się w dzielnicy tej awangardy. Wprawdzie dałoby się to i owo powiedzieć o oświetleniu niekoniecznie korzystnem dla wielu płócien, lecz naogół lokal robi wrażenie bardzo „moderne".

Wernisaż Salonu w Tuileries gromadzi zawsze bardzo wiele osób. Trochę ze zwyczaju, trochę przez snobizm. Artyści wystawiają tu tylko na zaproszenia. Niby to awangarda, ale coraz więcej spotyka się i starej gwardji. Tak np. w tym roku wystawiają tu Jacques Emile Blanche i Albert Besnard, zresztą bardzo ciekawi artyści.

Naogół Salon w Tuileries nie posiada już tych tendencyj arcy-*moderne*, które przerażały niegdyś spokojniejszą publiczność i zachwycały zwolenników nowości za jakąbądź cenę. Van Dongen, Otton Friesz i inni artyści, mający ustaloną już reputację, stali się o wiele spokojniejsi.



Łazarska. Ukrzyżowanie (batik na drzewie).

Jest tu, jak zawsze, sporo Polaków. Tamara Łempicka wystawia swoją ładną „Bretonkę" i niebieską Madonnę o ślicznych ciemno - niebieskich odcieniach, oraz portret małej dziewczynki. Zofja Piramowicz zerwała tym razem z kwiatami i daje nam pejzaże kolorowe i słoneczne. Łazarska ma ciekawy portret kobiecy i śliczne anemony. Dora Bianka (Kucembianka) ma parę delikatnie stylizowanych płócien. Śliwińska ma doskonały portret Pawła Cazin. Brakuje tu, niestety, Niny Aleksandrowicz, ale ta wystawia tego roku u „Femme Peintres" (Kobiety Malarki, stowarzyszenie) z wielkiem powodzeniem.

Słynna Marja Wasiliew, twórczyni lalek - symboli i lalek - portretów, ma tu też parę obrazów. Ciekawy jest jeden z nich, rodzaj bizantyjskiej Madonny o wąskiej twarzy, złocistej na czarnem tle, bardzo prostej i nieskomplikowanej, a jednak tajemniczej. Mówi się też o pięknych „bleu" (niebieskich) Annenkowa. Ma on ciekawy pokój niebieski, istną gamę odcieni, na której odcina się bukiet biało - różowy. Niestety, fotografje nie dają żadnego wyobrażenia o podobnych pieśniach barw, można je podziwiać tylko w oryginale. Łoszakow, który tej zimy urządzał własną wystawę na bulwarze Haussmann, tym razem wystawia wyrazisty autoportret oraz nature morte.

Jest też parę wystaw retrospektywnych artystów zmarłych w ciągu roku. Czarne krawaty z gazy i nieraz bukiety bladych parmeńskich fijołków znaczą te żałobne sale.

Publiczność napływa coraz liczniej. Nietylko piętra i parter są literalnie „zapchane", nawet na schodach można się poruszać tylko ostrożnie i z trudnością. Nazywa się to, że wystawa ma powodzenie. Chociaż po raz pierwszy tego roku kazano dopłacać posiadaczom wolnego wstępu za zaproszeniami na wernisaż po dwa franki na artystów bezrobotnych. Trudno: kryzys.

Dr. M. Kasterska.

Romans i życie kryminalne

Przy ul. Mazowieckiej mieści się pewien uroczy i niezakonspirowany zakątek, który odwiedza kilkaset osób dziennie. Trzy stopnie wprost z trotuaru i już się jest w czytelni i wypożyczalni książek. Na podłużnym stole najlepsze pisma, o jakich dusza zamarzyć może, z zakresu literatury, malarstwa, architektury, polityki, filozofji, mody i humoru, a w głębi książki piękne i tak czyste, że nie robią wrażenia czytanych.

Ze wstydem przyznaję, iż nigdzie nie cieszę się tak smutną opinją, jak w owej przemiłej czytelni. Zaledwie staję w drzwiach, już panie Zosia i Anielcia, dostawczynie pokarmu dla ducha, witają mnie niezmiennie: — dla pani G 40 jest powieść kryminalna — i tak się utarło z moją lekturą, że gdy pragnę sięgnąć po inną gałąź literatury, muszę to uczynić w sekrecie, ażeby nie utracić przywileju otrzymywania pierwszych nowości z zakresu „kryminologji".

Nic nie mam na usprawiedliwienie, dlaczego powieści detektywne pociągają mnie — chyba, że nie stanowię wyjątku i że wśród wielbicieli powieści sensacyjnych spotkałam bardzo poważnych i znanych adwokatów, doktorów medycyny a także filozofji, ludzi stojących na czołowych stanowiskach w rządzie, wojsku, przemyśle, ludzi, których społeczna i zawodowa praca stoi bardzo daleko od zagadnień, poruszanych w tych mało skomplikowanych romansach.

Maleńka ankieta, przeprowadzona wśród „kwiatu inteligencji", odżywiającego się literaturą kryminalną, da się ująć w kilka słów. Powieści kryminalne czytają ludzie przepracowani, zmęczeni i pracą umysłową i kłopotami, związanemi z dzisiejszą uciążliwą sytuacją zbyt wolno mijającego kryzysu. Wiadomo, że krzyżówki, zadania bridżowe mają moc odprężania myśli. I romans kryminalny spełnia podobną rolę. Jak się nazywała piętnasta kochanka Henryka VIII-go? Czy należy oddać piątą lewę przeciwnikowi? W jaki sposób zrobiono podkop do skarbca zawierającego tajny dokument?— wszystko to jedna kategorja wzruszeń oderwanych i problemów, przy których się wypoczywa.

Oczywiście, nie wszyscy mają na swoje usprawiedliwienie zmęczenie intelektu i chęć skoncentrowania uwagi na abstrakcjach. Czytanie powieści kryminalnych jest swojego rodzaju rozrywką, która zczasem przechodzi w nałóg. Niema sanatorjów, w których leczy się z pochłaniania romansów kryminalnych, ale jest inny, w wielu wypadkach niezawodny środek. Czytanie kryminalnych romansów w kryminalnych polskich przekładach może raz na zawsze uzdrowić czytelnika, wrażliwego na styl, język i sens. Ale tu zachodzi pewne niebezpieczeństwo: rekonstrukcja zdań, chwytanie wątku staje się znowu rozrywką umysłową, humorystyczną łamigłówką, pasjonującym czingczangem.

Szału literatury kryminalnej nie rozpętali ani Conan Doyle, ani Leblanc, ani Wallace. Ten szał istniał już za czasów Drugiego Cesarstwa. Ojcem dzisiejszego romansu sensacyjnego jest Gaboriau. To jego słynny Lecoq, agent śledczy, posługiwał się pierwszy metodą dedukcyjną — o którą oparł się cały sukces Sherloka Holmsa. To Lecoq „człowiek o stu obliczach jest prototypem wszelkich detektywów Scottland-Yardu, Wallaca i jego naśladowców. I morderstwa, i intrygi, i afery szpiegowskie, i zemsty, i ukryte skarby, i porwania — wszystko to już było w epoce tiurniur i sznurówek, a że czytelniczki uwięzione w klatki z fiszbinów dostawały mocnych palpitacji serca, nikt chyba nie wątpi.

Nie odsądzajcie od smaku i kultury tych wszystkich, którzy lubili i lubią powieści kryminalne. Każdy nieomal romans sensacyjny jest bajką dla dorosłych, a i dorośli lubią bajki, tak samo, jak dzieci, Że niekażda bajka jest mądra? A czy wszystko co mądre sprawia przyjemność?

Nowy, rewolucyjny typ bohatera wprowadził do romansu kryminalnego Leblanc. Dżentelmen-włamywacz, walczący z detektywami, policją, wymykający się stale prawu, uwielbiany przez kobiety, starców i dzieci, znienawidzony przez miljonerów, których grabi bez litości, złodziej o pięknym geście. Połączenie pojęcia dżentelmena z włamywaczem mogłoby się, przynajmniej w Anglji, wydawać niestosowne, ale i tam umiłowano Arsena Lupin, i tam szereg autorów puścił w świat szereg podobnych typów.

Jeżeli lekturę kryminalną można uważać za niebezpieczną, to właśnie ten typ powieści, w których ów bardziej włamywacz niż dżentelmen, popełnia — nawet bez przelewu krwi — mnóstwo oszustw, szantaży i jakoś mu się wszystko gładko udaje, jest najgorszy. Może łatwo poruszyć „romantyczną strunę" w duszy niezadowolonego dżentelmena, a w życiu tego rodzaju eksperymenty przechodzą do rubryki sądowej. Krótki jest sen o sławie, a za kratkami lata — jak już powiedział ktoś inny, ale o małżeństwie — liczą się podwójnie.

Prowadzono przed laty długie akademickie spory, czy literatura jest odzwierciedleniem życia, czy też życie naśladuje literaturę. Spór nie został ostatecznie rozstrzygnięty. Niemniej bardzo często spotyka się w życiu sytuacje z romansu kryminalnego, a w romansach — sceny wyrwane z życia.

Niemniej, faktem niezaprzeczonym jest, że najnieprawdopodobniejsze obrazy i sceny, zmontowane przez autora powieści kryminalnej, bledną często w zestawieniu z rzeczywistością życia jednego człowieka.

W każdym autorze powieści sensacyjnych tkwi dusza przestępcy albo detektywa, a często obie naraz. Wielki przestępca czy oszust jest zawsze autorem swojego romansu. I z tego punktu widzenia spoglądają szersze masy publiczności na aferzystów i przestępców. Dlatego może, z zapałem godniejszym lepszej sprawy, biegną tłumy... inteligencji na sprawy do sądu, studjują rubryki sądowe, ilekroć zdarzy się coś sensacyjnego, toczą spory na temat: winny czy niewinny. Zatraca się granica pomiędzy romansem i życiem kryminalnem, a właściwie wszystko dla tych, którzy stoją daleko, jest dalszym ciągiem romansu kryminalnego — z tą różnicą, że niezawsze można im wytłomaczyć, winny czy niewinny, jakie motywy skłoniły do popełnienia zbrodni lub oszustwa, kto był powodem? I właśnie te niewyjaśnione rzeczy posiadają specyficzny urok dla amatorów romansów kryminalnych w odcinkach. Zginął jeden z odcinków, lub zakończenie — więc samemu rekonstruuje się puste miejsca.

Że nawet znanych literatów pociągają bohaterowie życia kryminalnego, przekonać się można łatwo, sięgnąwszy bodaj po trzy książki, które się ukazały przed kilkoma tygodniami. Kessel, Almeras i Choisy napisali trzy dosyć zbliżone reportaże o Stawiskim, w których ta smutna i kompromitująca postać urosła niemal na heroicznego tryumfatora.

Apoteoza bohaterów życia kryminalnego jest rzeczą znacznie niebezpieczniejszą, niż sympatje dla bohaterów romansu.

H. Jel.

JANUSZ MEISSNER

NA GŁUSZCE

(List z Wołynia)



W stronie Karasina „grało" 300 głuszców.

II

Jedziemy przez las, rozśpiewany świergotem ptaków o wczesnym ranku, mijamy jakąś wioskę na wzgórzu i znów zagłębiamy się w lesie. Po prawej stronie drogi, między brzeźniakami i partjami sosnowego boru, prześwitują ogromne rybne stawy Smołodówki, które ciągną się na przestrzeni kilku kilometrów. Wtem, za jakimś zakrętem, zdala od rozjazdu, na którym możnaby się wyminąć, spotykamy nieoczekiwanie wagonetkę z ładunkiem makuchów i zboża, podążającą w przeciwnym kierunku. Niema innej rady: trzeba jej ustąpić z drogi, bo nasza lżejsza. Nuś zrzuca swoją platformę z toru przy pomocy właściciela spotkanego wozu i tamten przejeżdża obok nas, poczem znów pomaga nam ustawić platformę na szynach.

— A co się robi, jeżeli obie fagonetki są ciężko naładowane?

Nuś wzrusza ramionami.

— Trochę się pokłóci, potarguje, a potem trzeba jedną zrzucić — odpowiada filozoficznie. — Albo można cofnąć do rozjazdu, jeżeli niedaleko.

I zaraz opowiada mi zdarzenie, które miał przed kilku dniami w nocy, odwożąc na stację p. Birara. W nocy jeździ się naturalnie ze światłem, aby uniknąć zderzenia. Otóż gdy tak jechali, usłyszeli nagle charakterystyczny klekot wagonetki pędzącej z przeciwnej strony pociemku. Mimo sygnałów i wołań, napotkany woźnica ani myślał się zatrzymać!. W ostatniej chwili Nuś i p. B. zeskoczyli na ziemię, poczem konie i wagonetki starły się ze sobą gwałtownie. Z ciemności odezwały się przekleństwa; jakiś pijany chłop wymyślał, gramoląc się z błota i zaraz rwał się do bitki. P. Birar, doprowadzony tem do pasji, własnoręcznie poskromił awanturnika i odjechał, pozostawiając go na drodze. W dwa dni potem znów Nuś wiózł pana B. nocą ze stacji do domu. W odludnem miejscu w lesie ktoś zaczął wołać:

— Podwezite, panie, do Głubokoho!

Pan B. na wszelki wypadek spytał, kto prosi.

— A to ja; tij, kotoromu uw mordu dali, kak napiłsia — odrzecze dobrodusznie kmieć, bynajmniej nie chowający w sercu urazy za słuszne, acz bolesne napomnienie z przed dwuch dni.

Zbaczamy teraz na prawo, do majątku pana Birara. Jedziemy groblą między stawami i Nuś pokazuje mi miejsce, którędy stale przechodzą wilki w zimie.

— Bardzo ich dużo tego roku — mówi. — Przyjdzie taki, podkopie się pod chlewik, weźmie owieczku, zarzuci na pleczi i poniesie. Dużo wytracili owiec za zimę, i w Maniewiczach nawet.

Półdzikie stawy, bór przecięty drewnianą, próchniejącą szosą, tor kolejki i konna wagonetka, rzadko spotykani chłopi w łapciach, kożuchach i baranich czapach wełną na wierzch — wszystko to w ciszy poranka, podszytej muzyką ptasią, sprawia wrażenie czegoś niezmiernie odległego od cywilizacji, czegoś zgoła egzotycznego. Mam uczucie, podobne chyba do uczucia podróżnika w afrykańskiej puszczy, który zdąża ku pionierskiej osadzie białych.

Lecz oto i osada. Drewniany dwór, stary, nieco zapadły i zaniedbany z zewnątrz.

Wysiadam, przedstawiam się gospodarzowi, witam się z pułkownikiem, który właśnie tego dnia o świcie „stuknął" głuszca, i po śniadaniu ruszamy zaraz w dalszą drogę, aby przed południem przybyć do kresu wąskotorówki, gdzie czekają na nas konie z Śródborza.

Mijamy teraz liczne zakręty piaszczystej drogi leśnej, siedząc wygodnie na sprężynowej poduszce wasąga i po upływie pół godziny zajeżdżamy przed dom pp. Jaroszewskich, stojący po środku leśnej poręby i ze wszech stron otoczony lasem.

Wita mnie przedewszystkiem ogromny pies, Raby, który podobno zagryzł w zeszłym roku wilka po zaciekłej wa[illegible] wychodząc z niej tylko lekko ran[illegible]. Zaczem na ganku zjawia się gospoda[illegible] pani domu i reszta domowników.

Przybywamy tu ze świata do serca kniei, więc należy się od nas leśnym ludziom garść nowin i wiadomości o tem, co się dzieje w stolicy i w kraju. Gawędzimy do obiadu, poczem następuje nieodzowny bridge, a dopiero później — plan działania.

Tego wieczora mamy iść na słonki, nazajutrz rano lub raczej przed świtem — do budek na cietrzewie, potem na kaczory z krekuchą i na zapady głuszców do Sawiny. A więc najwcześniej będzie mi dane strzelać do głuszca pojutrze rano...

Tymczasem pogoda psuje się fatalnie: wieczorem zrywa się zimny, północno-wschodni wicher; słonki ciągną słabo; pudłuję zresztą haniebnie do jedynej, jaka przeciąga nad mojem stanowiskiem — pułkownik poprawia i strąca ją na ziemię; w nocy mży deszcz i towarzyszy nam o drugiej przed wschodem słońca do budek na bagnie. Marznę potężnie mimo mego kombinezonu i gorącej herbaty w termosie, poczem pudłuję z kolei do jednego z trzech cietrzewi, przybyłych na tokowisko mimo niepogody. Jedyna pociecha, że pułkownik również „sperfumił" ze swej nieomylnej dwunastki i że koguty siedziały bardzo daleko.

Z kaczorami jakoś poszło lepiej. Przybyliśmy nad staw w towarzystwie miejscowego rybaka, Bałaja, który przyniósł w kobiałce młodą kaczkę - krekuchę. Zimno było, jak na biegunie; aż dreszcze brały, kiedy Bałaj zdjął kożuch i wlazł do wody, aby krekuchę przywiązać na długim sznurku do sterczącego pniaka. Kwakała dzielnie, może nie tyle z romantycznego zapału do kaczorów, ile z żalu za ciepłą izbą, ale kaczory sypały się ku niej jeden za drugim, a nasze strzelby grzmiały raz po raz, nie chybiając.

Bałaj uśmiechał się jak satyr. Wogóle podobny był do satyra: miał lat 68, twarz pomarszczoną, jak suszona gruszka, wyskubaną ryżą bródkę i takież wąsiki nad zapadłemi wargami, z pomiędzy których sterczały dwa żółte reprezentacyjne kły — symbole dawno utraconego uzębienia. W młodości był kłusownikiem i trochę zbójem. Na starość pozostała mu pasja myśliwska: słynął na całą okolicę, jako *osadczyk* i nawet już za rosyjskich czasów wzywano go w potrzebie do osadzania głuszców i podprowadzania moskiewskich dygnitarzy „pod pieśń" do strzału.

Opowiadał o tem z dumą, a między innemi wspominał także słynną swoją przygodę z jakimś niemieckim erb-printzem, który w roku 1913 przyjechał tu na polowanie. Erb-printz nie wiedział nawet, jak głuszec wygląda i — ma się ro-

zumieć — nie umiał po rosyjsku, więc Bałaj prosił tylko, aby gościowi kazali robić wszystko to, co on, Bałaj, robić będzie.

— Korowu jemu pokazał szczob jej nie ubił, koli uwidit i poszli — śmieje się cicho.

Usłyszeli pieśń głuszca, skakał Bałaj, skakał i printz. Aliści głuszec grał na bagnie. Trzeba było skakać przez wyrwy, wykroty, zatory z chrustu... W jakiemś miejscu Bałaj potknął się i upadł w błoto. Printz, myśląc, że tak właśnie trzeba, wyciągnął się obok jak długi, ale — że było mokro — zaczął się gramolić z trzaskiem łamanych gałęzi. Wtedy głuszec przerwał.

Na Bałaja poty wystąpiły: spłoszy się głuchar'. Wlazł tedy na printz'a i przydusił, „szczob uspokoiłsia".

— Tolko głuchar' zagrał, a ten do mienia — szwender - mender — poniemiecik. Tak ja jeho — pod pieśń — w mordu! Szczob cicho stał. Tak i konce koncow ubili. I jeszcze diesiat' celkowych połucził.

W tym roku wezwał pomocy Bałaja pan generał S. w samo pierwsze święto prawosławnej Wielkanocy i Bałaj wykradł się nocą od swojej baby, do cerkwi nie poszedł, aby tylko w polowaniu wziąć udział — głuszca posłuchać. Trzeba było widzieć, z jakiem nabożeństwem, z jaką pieczołowitą czułością brał do ręki nasze strzelby. Aż mu się do nich jarzyły małe oczki, ledwie widoczne wśród zmarszczek twarzy.

Najbardziej zdumiał mnie jednak, gdy przyszło do wyłowienia z wody ubitych kaczorów. Było tego sześć sztuk. Leżały o 40 metrów od budki, kołysząc się na fali nad głębiną, a my nie mieliśmy ze sobą ani psa, ani łodzi. Bałaj wybawił nas z kłopotu: zrzucił kożuch i portki, wlazł do stawu po pas, po szyję, wreszcie — popłynął. Nie chcąc zaś wracać kilkakrotnie, pozbierał wszystkie kaczory i, powtykawszy sobie ich dzioby między bezzębne szczęki, tak zaaportował cały wieniec ptaków do brzegu z lodowatej wody. Otrząsnął się potem tylko, łyknął dobrą szklankę gorzały, kożuch nałożył i poszedł z nami do domu. Gotów jestem zaręczyć, że nie ma reumatyzmu, ani nawet kataru.

Po południu poszliśmy do Sawiny na zapady. Sawina nie jest osiedlem, ani wogóle czemś bliżej określonem. Jest to właściwie nazwa kierunku, albo części lasu, nie ograniczonej zresztą ściśle. Znajduje się ona w stronie Karasina, gdzie, jak mi już mówił Nuś i co potwierdził gajowy Piech — gra 300 głuszców u p. Sloskina.

W Śródborzu nie można było wprawdzie oczekiwać takiego bogactwa, ale na nasze potrzeby zupełnie wystarczało tych kilkanaście kogutów, które w nadleśnictwie p. Jaroszewskiego zapadały.

Siedliśmy wraz z pułkownikiem na



...i chmury rozpraszały się, uciekając gdzieś na północ...

zwalonym pniu, zasłonięci młodą sośniną od strony polanki, w pobliżu której znajdowało się tokowisko i zapaliliśmy ostatniego papierosa, bo było wcześnie, a komary już zaczynały dokuczać.

Słońce zachodziło, ale las śpiewał jeszcze gwarem ptasim, jak za dnia. Pociepłało i chmury porozpraszały się gdzieś, uciekając na północ.

Naprzeciw nas, niewidzialny dla naszych oczu, darł się fałszywym barytonem kruk na samotnem gnieździe. Raz po raz odewały się żaby i umilkły, jak orkiestra, strojąca instrumenty. Żołna uderzyła swój suchy werbel: — Trrrru! — przeleciała między gałęźmi i znikła.

Z bagien podnosić się zaczął biały opar mgły, pnie sosen poróżowiały, niebo przyblakło i okryło się rumieńcem na zachodzie. Wiatr ucichł. Brzęczały smutne komary.

Zwolna gasły śpiewy ptasie w coraz czarniejszych, rozczochranych głowach sosen. Świerszcze, wycierając cierpliwie strofki swej jednostajnej kantyczki, rzępoliły zapamiętale. Wtem z daleka zaszlochał puszczyk wysoką, przeraźliwą skargą: raz, drugi, trzeci. Z łąk, od strony stawów, odpowiedziały mu żórawie, śpiesznie, jeden przez drugiego. Potem miękko, wraz z błękitnym zmierzchem, opadła na las cisza. Jeszcze tylko szeptem zachrapała ciągnąca nisko słonka. Jeszcze raz sennie mruknął coś ni w pięć ni w dziewięć kruk i już pod ciszę podpłynął łagodny, matowy rechot żabiej kapeli.

Bezszelestnie, jak czarne płatki nocy, zawachlowały chwiejnym lotem nietoperze. Tajemnicze i dziwne, spływały z czerni konarów między platynowe gwiazdy na jasnem tle nieba, przepadały w cieniu i znów się zjawiały, milczące, szybkie, chybotliwe.

Nagle—potężny, świstliwy łopot skrzydeł, rzekłbyś, tuż nad głową, sypki śmiech roztrącanych sosnowych kiści, trzask i skrzyp uginających się, łamanych pod jakimś wielkim ciężarem gałęzi...

Nie, nie nad głową: dalej: dalej o 100, może o 150 kroków. Przeleciał nad nami i zapadł gdzieś na prawo — głuszec.

Siedzimy, jak skamieniali. Tylko dłoń pułkownika wpija się palcami w moje ramię.

Kątem oka widzę, jak na czole mego przyjaciela siadają trzy komary i, rytmicznie przykucając na bambusowych nóżkach, pompują krew. Ale to nie dlatego pułkownik zaciska palce: od strony wysokich sosen z za skraju polany dolatuje nas ciche, charczące krechtanie.

— Rrech, karr-rech, krech.

Siedzimy nieruchomo. Komary brzęczą.

Siedzimy i czekamy. Zapada zmrok, ziemia szarzeje, zlewają się kontury pni i krzaków, toną, rozpuszczają się w ciemności czarne sylwetki młodych sosen i tylko bieleją tu i owdzie wysokie niezapalone świece brzóz wzdłuż ścieżki.

Czekamy jeszcze. Jasność nieba zagęszcza się nocą. Coraz ostrzej błyszczy na niem platyna wysypanych bezładnie gwiazd. Czekamy...

Potem pułkownik wolniutko wstaje i ostrożnie, omijając suche gałązki wrzosów, zaczyna iść w stronę, skąd przyszliśmy przed dwiema godzinami. Posuwam się za nim. Najlżejszy szmer naszych kroków brzmi w moich uszach, jak karabinowa salwa.

— Rany Boskie, żeby nie usłyszał...

Po przejściu 100 kroków jesteśmy już bezpieczni: kryje nas ściana lasu i równa piaszczysta droga tłumi odgłos stąpań. Jeszcze 200 kroków i możemy zapalić papierosa. Głuszec jest obsadzony.

Pułkownikowi czoło spuchło, jak dynia...

D. c. n.



W pogoni za słońcem



Zabawa na pokładzie



I
ŻYCIE NA „KOŚCIUSZCE".

Turystyka polska ożyła. Nie mamy już trudności dzięki temu, że Linja „Gdynia — Ameryka" organizuje zbiorowe wycieczki, biorąc na siebie wywiezienie i powrót pasażera. Okręty nasze opanowały dalekie szlaki: Gdynia — Ameryka, Konstanza — Jaffa, Gdynia — Skandynawja i wreszcie ostatnio Gdynia — Portugalja — Maroko — Gran Canaria — Tenerife — Madeira — Belgja.

Dziewicza to była dla naszego transatlantyku „Kościuszko" ostatnia podróż, prawie odkrywcza i pionierska. Kolumbem był kapitan Borkowski, jeden z najwytrawniejszych „wilków morskich" w Polsce. Przeszło już 30 lat wędruje po morzach i oceanach.

„Kościuszko" to statek, liczący około 15000 tonn. Jak na polską marynarkę handlową, jeszcze niezbyt bogatą, dość wygodny. Rzecz oczywista, że nie daje komfortu, który można spotkać na cudzoziemskich okrętach, będących własnością państw morskich. My a oni — to wielka różnica. Może jednak z czasem dorównamy. I to niezadługo. W stoczniach włoskich budują się dla Polski dwa wspaniałe, najnowocześniej urządzone transatlantyki, mające zastąpić „Kościuszkę" w wycieczkach dalekomorskich.

Wycieczki Linji Gdynia — Ameryka weszły w modę. I nasza spotkała się z życzliwem przyjęciem. Blisko pół tysiąca uczestników. Reprezentowane wszelkie sfery, prawie cała Polska. Statystyka obejmuje 110 wyższych i niższych urzędników. W znacznie mniejszej liczbie idą za nimi: inżynierowie 36, lekarze 33, adwokaci, przemysłowcy, ziemianie, literaci i publicyści po kilkanaście czy kilka osób. Najsłabiej duchowni. I jedno tylko dziecko. Przewaga mężczyzn: 226 wśród wycieczkowiczów i około 200 załogi. Dzielnicowo najwięcej dała Kongresówka — 269 osób; Wielkopolska — Pomorze — Górny Śląsk — 83 i Małopolska — 72. Według miast najpokaźniej reprezentuje się Warszawa — 186, Łódź — 31, Kraków — 27, Poznań — 19, Gdynia — 14, Lwów — 14 i z innych miast 133.



Kapelan „Kościuszki" ks. Kneblewski ze swemi owieczkami.





O jakości towarzyskiej tego całego zespołu niech powiedzą niektóre nazwiska: b. min. Kwiatkowski z małżonką, b. marsz. Trąmpczyński, sen. Rostworowski, Marja Jasnorzewska-Pawlikowska, Magdalena Samozwaniec, dr. Zygmunt Nowakowski i inni.

Życie na statku to pewna całość. Małe ghetto ze swoją organizacją, interesem, troską, opinją, współzawodnictwem, modą i plotką. Olbrzymią rolę w samopoczuciu każdego gra morze. Zależnie od jego stanu — to maleńkie państewko czuje się źle czy dobrze. Niestety, o ile na lądzie czuli się wszyscy lepiej, o tyle na „Kościuszce" nie tak bywało. Natrafiliśmy na falę niespokojną, a z tem kołysankę i bujanie, wiatry, mgły i chłody. Z tego wynikła depresja fizyczna i duchowa. Choroba, zmuszająca przeszło połowę wycieczki do wylegiwania się w kabinach i na pokładach. Całe szczęście, że stół zdrowy i świetna obsługa.

Druga część nie dawała się. Od czegóż bar, a w nim wyskok wszelaki — najlepszy z niego koniak, który jednak podtrzymuje zdrowie. Odchodził też i szampan. Dobrze robi zapomnienie. Nic dziwnego, że szukano go w brydżu. Nie było wolnego stolika, ani miejsca, gdzieby nie uprawiano tej najmodniejszej dzisiaj gry. Nie brakło i pokera. Pomaga czytanie i rozmowa. Stąd gawędy po kącikach. Swietną jest ploteczka. Ta pracowała od rana do wieczora, bez atoli smutnych konsekwencji.

Najlepszą chyba cząstkę w robieniu nastroju miała orkiestra p. Grossmana. Grała niezmordowanie przy wszystkich posiłkach. Repertuar w przewadze polski, wybrany. Wykonanie wysoce artystyczne. Oczywiście nie mogło braknąć jazzbandu z perkusją spolonizowanego Mulata.

Wieczory na zmianę. Raz dancing. Następnie odczyt krajoznawczy, który mnie przypadał w udziale. Wreszcie rewje i wesołości. W tem brała udział satyryczka i paradoksistka, Magdalena Samozwaniec i komik z własnemi utworami, Leon Wyrwicz. Clou tego wszystkiego był ostatni „Wieczór Kapitański". Ukazywała się i gazetka okrętowa pod redakcją p. Drzewieckiego, przynosząca wieści radjowe z szerokiego świata. Nie próżnowały i kodaki, utrwalające różne sytuacje.

Rankiem w dni powszednie i nieco później w niedziele odprawiała się Msza św. na pokładzie, poprzedzana pieśnią z płyty „Kiedy ranne wstają zorze", budzącą wszystkich do wstawania. Po niej wyruszał na kurytarze steward pokładowy, używający dobitniejszego środka na spiochów, gongu, w który walił niemiłosiernie aż do skutku...

X. W. *Kneblewski.*

Świat książki

HISTORJA SZAREGO CZŁOWIEKA

Wielka wojna, niezależnie od nieobliczalnych wprost strat ekonomicznych i ogólno-ludzkich, wyrządziła jeszcze gorsze spustoszenie w nieuchwytnym statystycznie i nie dającym się obliczyć na żadną walutę kapitale wewnętrznych wartości. Cały szereg prawd i dogmatów prysnął jak bańka mydlana, najszczytniejsze ideały okazały się zakłamanym frazesem a zwalonych bogów nie zastąpili nowi. Epidemja całkowitej atrofji dotychczasowej filozofji moralności dotknęła przedewszystkiem tych, którzy bezpośrednio brali udział w katastrofie czteroletniego pogwałcenia tego wszystkiego, co stanowiło wartość człowieka. Kończąca się przeważnie kalectwem lub śmiercią gehenna okopów, obłąkany mord, demon zniszczenia, jaki ogarnął narody, wykazać musiał całą pustkę nienaruszalnych napozór prawd, musiał wywrócić je do góry nogami i kazał szukać nowego zupełnie, na żadnych przesłankach atawistycznych nieopartego, stosunku do życia.

Ze stosunku tego narodziła się największa tragedja współczesności. Człowiek wyrwany z piekła wojny, powróciwszy do normalnego życia, stanął wobec całego kompleksu zjawisk obcych, niezrozumiałych, a nawet wręcz wrogich. Uczuł się niepotrzebny. Bo to, co dotychczas stanowiło podstawę jego równowagi duchowej, okazało się fikcją, zakłamaniem, pustką bezcelowości. Nie jest to zjawisko odosobnione. Cały szereg pisarzy, w dodatku nie zawodowców, jak Remarque, Fink, Gipps, Smith i wielu innych, stwierdza tę katastrofę i napróżno szuka na nią ratunku.

Z tragedji człowieka współczesnego, bezpośredniego świadka i uczestnika przewartościowania pojęć dwóch epok, powstała również węgierska powieść Franciszka Körmendi „Przygoda w Budapeszcie". Ciekawe są dzieje tej książki. Autor urzędnik bankowy, uczestnik wielkiej wojny, prawdopodobnie nigdyby nie pokusił się o laury literackie, gdyby nie bezrobocie. Utraciwszy posadę, w okresie przymusowej bezczynności, przeprowadził gruntowną rewizję stosunku „dziś" do „wczoraj" i w ten sposób powstała jedna z najciekawszych powieści, pisana przez samo życie. Na Węgrzech nie znalazł się ani jeden wydawca, który chciałby opublikować spowiedź Körmendiego.. Potraktowano ją, jako typowy produkt grafomaństwa bezrobotnego. Autor, niezrażony niepowodzeniem, przesłał rękopis na międzynarodowy konkurs wydawnictw A. M. Hnatha, Chapmana i Halla, oraz Williama Morrow'a i w przeciągu kilkunastu miesięcy zdobył poczytność na całym niemal świecie.

Jest to bowiem powieść wszechświatowa o ludziach wykolejonych, nie mogących odnaleźć dawnego gruntu pod stopami i zarażonych powojenną psychozą użycia. Zresztą zawierucha dziejowa wykazała, że wszystkie środki są dopuszczalne, o ile chodzi o dojście do celu, a szereg pięknych, nieraz ewangelicznych prawd, stał się raczej pojęciem encyklopedycznem. Autor z bezwzględną szczerością pokazuje typy ludzi dzisiejszych— składających się na rdzeń szarej masy społecznej, na których zaciążyło przekleństwo wojennego dziedzictwa. Tragedją ich jest, że zagubili oni swoje wartości wewnętrzne, a raczej to, że życie wykazało fałszywą buchalterję tych wartości.

Ogromnym walorem „Przygody w Budapeszcie" jest pewnego rodzaju dualizm fabuły: dzieje drobnego urzędniczka Kelemena i fantastyczna wprost karjera dorobkiewicza Kadura, jednostki, która wytrącona z normalnego łożyska życia, umiała z chaosu powojennego wycisnąć najrentowniejszą jego treść. A ponieważ każde niemal dzisiejsze społeczeństwo składa się z dziesiątków tysięcy takich właśnie Kelemanów i Kadarów — nic więc dziwnego, że powieść Körmendiego znajduje wszędzie jednakowy oddźwięk i harmonizuje z każdym lokalnym kolorytem. Jest to książka międzynarodowa, przedstawiająca kliniczne okazy ludzi chorych, zatrutych powojennem moral insanity, powszechnie spotykanych, bez względu na szerokości i długości geograficzne. Realistyczny dokument dzisiejszego wieku, w którym załamała się jedna epoka, a nie zdołała się jeszcze ukształtować druga. Jeśli chodzi o stronę techniczną „Przygody w Budapeszcie", to skonstruowana jest pierwszorzędnie. Autor, nie będąc zawodowym literatem, rozumie doskonale wartość słowa i nie szafuje niem bezproduktywnie. Jego bohaterzy narodzili się nie w fantazji twórczej, lecz są przeniesieni wprost żywcem z jakiejś podrzędnej kawiarni, w której rozpoczyna się akcja powieści, zgubieni w wielkiem mieście i sami w sobie. Mimo obfitego nagromadzenia faktów, zdarzeń, zagadnień i środowisk, jest to powieść przejrzysta, zwarta i, co najważniejsza, dająca wprost olbrzymi materjał refleksyjny; to najlepsza i najprawdziwsza książka o powojennem pokoleniu, szarpiącem się w dusznym zmierzchu, który rozjaśnić może tylko ogólnoświatowy wstrząs.

Powieść Körmendiego ukazała się nakładem Gebethnera i Wolffa, w doskonałym przekładzie Rezso Schütza.

Jan Sokolicz-Wroczyński.

Z międzynarodowego kongresu autorów



Delegat niemiecki Max Kwaśniak (Berlin).

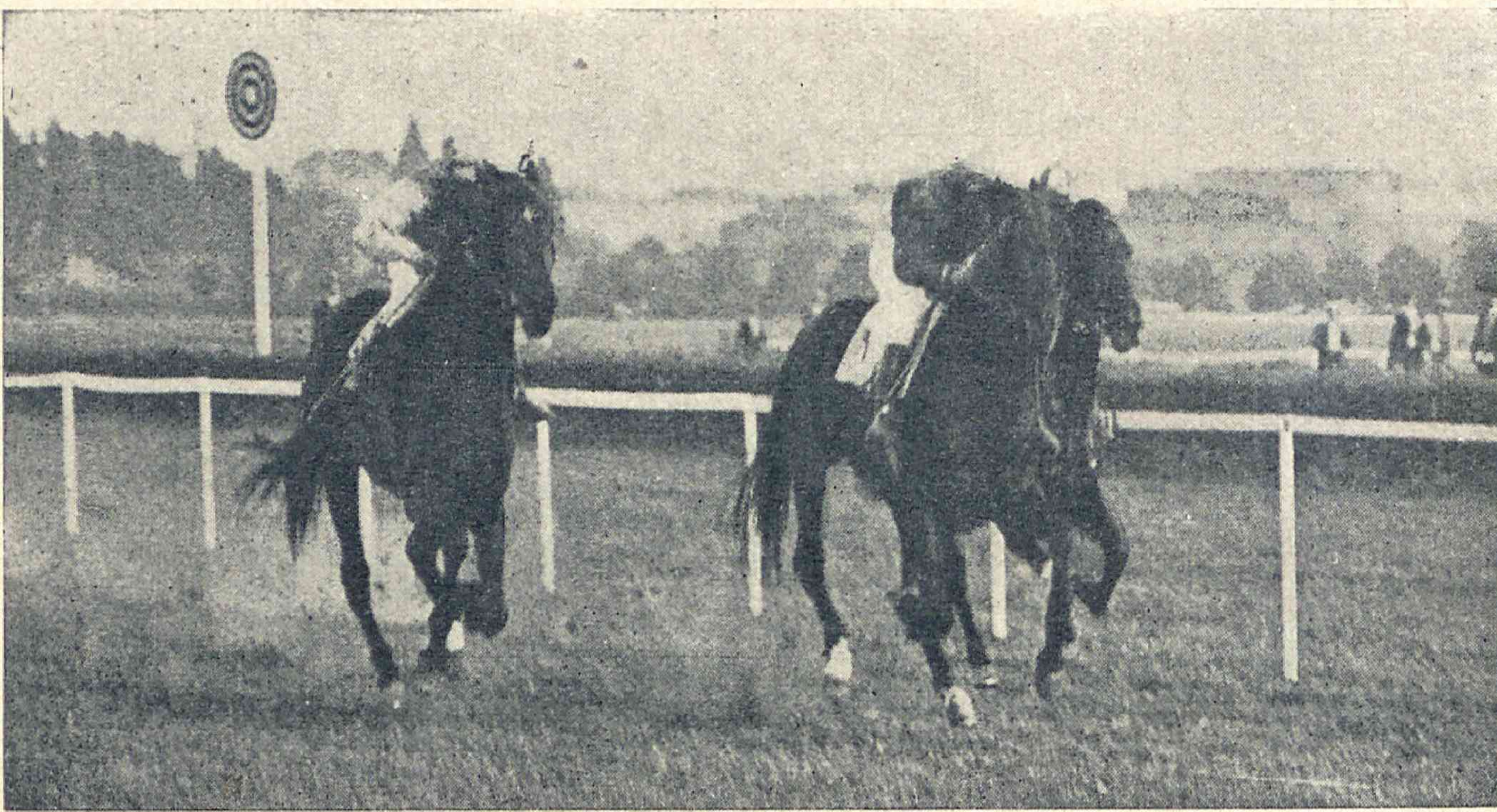


Attenberg, prezes Federacji Szwedzkiej.

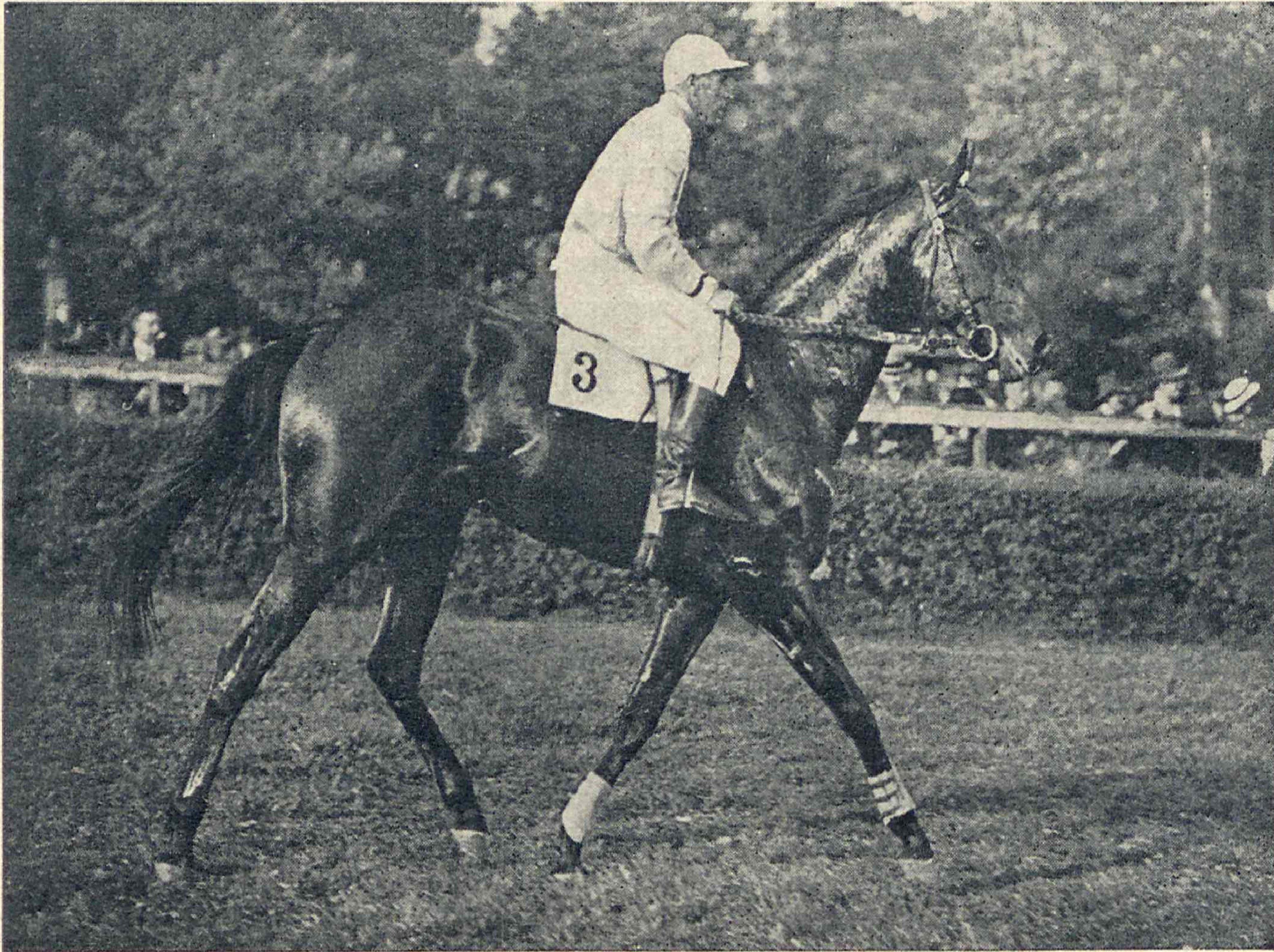


Delegat Austrji Calmus.

SPORT I MODA



Na finiszu — zacięta walka.



Uważany za specjalistę na krótkich dystansach Amor III — odznacza się również pięknym exterieurem.

MODA NA WYŚCIGACH.

Wytworna paryżanka w Longchamps. Toaleta czarno - biała z crêpe imprimé, biały duży kapelusz, długie białe rękawiczki.





Kobiety zwycięsko zgłaszają się na wszystkich polach u celownika życia! oto żokieje - kobiety w walce „z miejsca do miejsca".

LAZUROWE WYBRZEŻE WSCHODU



Widok z Krymu: Gurzuf

Opiewany przez poetów wszelkich narodowości półwysep krymski, niewątpliwie zasługuje na nazwę lazurowego wybrzeża wschodu. To też rzadko się zdarza, by turysta, który dzięki organizacji „Inturista" zwiedza Z. S. R. R., nie uwzględnił w swej marszrucie Krymu.

Krym, jako jeden z najbardziej czarodziejskich zakątków Europy, ściągał przed wojną liczne rzesze turystów z całego świata, pragnących odetchnąć powietrzem czarnomorskiem, posiadającem wysokie własności lecznicze i odpocząć wśród przepychu podzwrotnikowej przyrody, palm, magnolji, cyprysów i cedrów oraz oszałamiającego, lecz subtelnego zapachu kwiatu cytrynowego i akacji. Obecnie atrakcyjność wycieczek na Krym powiększona została przez możność zwiedzania pałaców i rezydencji, dawniej niedostępnych dla turystów.

Najbardziej charakterystyczne i zabytkowe budowle zamienione zostały na wspaniałe muzea, obrazujące burzliwe dzieje przeszło 40-wiekowej historji Krymu. Pozatem w wielu miejscach natrafić można na świetnie zachowane ślady starożytnej cywilizacji, jak ruiny scytyjskich fortec, greckich świątyń, gotyckich wież, oraz licznych meczetów tatarskich i tureckich.

Inne wille i pałace zamienione zostały na znakomicie zaopatrzone sanatorja i domy odpoczynkowe dla szerokich rzesz pracujących, przyjeżdżających tu z całego kraju na odpoczynek lub kurację. Łagodny klimat Krymu, całkowicie odpowiadający klimatowi śródziemnomorskiemu, wyjątkowo predestynuje ten uroczy zakątek Z. S. R. R. na odwiedzenie go celem poprawy zdrowia.

Zwiedzanie Krymu udostępnia gęsta sieć znakomitych dróg, specjalnie przystosowanych do ruchu samochodowego Wszystkie najbardziej godne widzenia miejsca połączone są stale kursującemi autobusami.

Stolicą Krymu, a zarazem jego politycznym, ekonomicznym i kulturalnym centrem jest Symferopol, położony przepięknie wśród ogrodów owocowych i winnic. Stara dzielnica tatarska posiada znakomicie zachowane wąskie uliczki i charakterystyczne domy o dachach w postaci tarasów.

W pobliżu znajdują się słynne ogrody Bakczyseraju z przepięknym pałacem chanów tatarskich, zamienionym obecnie na muzeum kultury turecko - tatarskiej, pełne arcydzieł sztuki, mozaiki, sprzętów, dywanów i drogich tkanin. Pałac wznosi się wśród wywierających niezapomniane wrażenie wodotrysków znanych pod nazwą „Złota fontanna", „Fontanna łez" i t. d.

Wielkie zainteresowanie wśród turystów wzbudza Sewastopol, znany z historji wojny krymskiej i oblężenia tego miasta przez połączone siły Anglji, Francji i Turcji w r. 1884 — 1885.

W odległości kilku kilometrów znajdują się nadzwyczaj ciekawe wykopaliska Chersonesu, miasta założonego przez Greków, mieszkańców Heraklei w VI wieku przed Nar. Chr. Odkopana jest już najciekawsza część tej greckiej „Pompei", gdzie znaleziono wiele kosztowności i innych ciekawych wykopalisk. W pobliżu Chersonesu odkryto na dnie morza starożytne miasto.



Krym: Orianda

Jednem z najbardziej malowniczych miejsc wypoczynkowych Krymu jest Simeiz, godny uwagi ze względu na piękne widoki i ciekawe formacje skalne, przypominające kształty ludzkie i zwierzęce.

Niemniej pięknie położona jest Ałupka, jedna z najzdrowszych krymskich stacji klimatycznych. Rezydował tu niegdyś książe Woroncow, namiestnik Krymu. Dzięki niemu pozostał tu park, rzadkiej piękności, posiadający drzewa i rośliny krajowe i egzotyczne. Wspaniała książęca rezydencja, licząca przeszło 200 sal i pokojów, przeistoczona została na muzeum, mieszczące arcydzieła mistrzów holenderskich i flamandzkich. W innem miejscu Ałupki, na wysokiej skale, prostopadle opadającej ku morzu, znajduje się pałac w stylu maurytańskim, znany pod nazwą „Jaskółcze gniazdo".

W Ałupce zaczyna się wspaniała droga, wysadzana cyprysami, wiodąca do Oriandy i Liwadji, ulubionego miejsca pobytu ostatniego cara.

Najsłynniejszem miejscem wypoczynkowem Krymu jest Jałta, która posiada więcej dni słonecznych niż Riwiera, gdyż zasłonięta jest od północy i wschodu wysokiemi górami. Znajduje się tu moc sanatorjów i domów odpoczynkowych oraz wielki hotel „Inturistu".

Do miejscowości godnych zwiedzenia należą również Ałuchta, Gurzuf, Massandra, ze swemi olbrzymiemi winnicami, produkującemi przeszło 4 miljony butelek znakomitych win, Bałakława, Inkerman i przepiękne góry krymskie ze szczytami Aj-Petri i Czatyr-Dag.

Porty Krymu posiadają dogodne połączenia wygodnemi parostatkami z wybrzeżem kaukaskiem i Odessą.

Zapisy na wycieczki na półwysep Krymski przyjmują w Polsce Tow. „Wagons-Lits-Cook, Orbis i Francopol" z któremi wielka organizacja turystyczna w Z. S. R. R. „Inturist" zawarła odpowiednie umowy.

JIM POKER

NIESPODZIANKA (NOWELA)

Wetknięta w tekturowe kółko butelka zadzwoniła melancholijnie w chwili, gdy wagon restauracyjny zadygotał na jakiejś zwrotnicy. Zawtórowała jej w sąsiedniem kółku uwięziona szklanka. Usługujący stewart szarpnął trzymanym w ręku półmiskiem, zupełnie jak żongler cyrkowy...

Ludwik melancholijnie spojrzał w okno. „Fern-D-Zug" Berlin — Paryż w tempie 110 kilometrów pomykał na Zachód. Lekko przyprószone śniegiem pola Westfalji przesuwały się za szybą, niczem olbrzymi batikowany wachlarz. Tu i owdzie kominy fabryczne podpierały smutne, niskie, jakby lada chwila mające runąć niebo.

W wagonie zapalono światło. Wraz z niem malancholja ustąpiła miejsca przytulnemu nastrojowi. Dygotanie na zwrotnicach stało się mniej nerwowe, więcej kołyszące. Z poza zapuszczonych firanek duch zimna i pustki nie przezierał już do wnętrza wagonu. Świerkała pieszczotliwie uwięziona w kaloryferach para...

— *Sie gestatten... Eine Dame...*

Stewart kłania się nisko, wskazując przeciwległe miejsce. Ludwik na znak przyzwolenia schyla głowę i podnosi ją natychmiast Krótka chwila wzajemnej obserwacji.

Blondynka dość wysoka, nie szczupła i nie tęga. Ładna bardzo kobieta, trochę przesadnie wymalowana, ale w całości nic wyzywającego. *Eine Dame...*

Nie chce jeść obiadu. Zamawia kurczę, wodę mineralną. Widać, że spostrzegła wzrok Ludwika i stara się podobać. Puderniczka i ołówek do warg w robocie.

Z typu sądząc, Niemka. Zresztą cudzoziemców w pociągu mało. Od czasu jak swastyka zastąpiła republikańską flagę, terytorjum zawarte między Renem a Odrą nie pociąga jakoś turystów.

* * *

Wagon kolejowy ma to do siebie, że zbliża ludzi, którzy w życiu codziennem byliby sobie zupełnie obcy, wrodzy niemal. Przy deserze Ludwik pomaga nalać wody mineralnej, bo piękna Niemka jakoś nie może się w podrzutach pociągu uporać ze szklanką. Widać mało podróżuje.

— Pani daleko jedzie?

— Do Paryża. A pan?

Tak, to Niemka. Żadnego cudzoziemskiego akcentu.

— Ja też do Paryża. Pani pewno pierwszy raz?

— Tak, — i gest mający oznaczać ni to radość, ni to lęk. — A pan zna Paryż dobrze?

— Świetnie, proszę pani.

— Pan paryżanin?

— Nie.

— Ale Francuz?

Niedobrze jest zadawać zbyt wiele pytań. Chochlik duszy ludzkiej płata czasem niespodziane figle. Ludwik nie był blagierem, tym razem jednak, sprowokowany, nie wiedzieć czemu odpowiedział:

— Tak.

— Jakie szczęście! (znów). Ale możemy mówić po francusku... Będzie mi pan dawał lekcje, przypomni ten cudowny język...

— *A votre service, Madame.*

Napewno Niemka. Akcent francuski fatalny, twardy. Trudności w doborze słów. Ale błękitne oczy patrzą na Ludwika z rzetelnym zachwytem, a małe rasowe uszy nastawiły się łakomie na paryskie nowinki.

Niedarmo Paryż jest stolicą świata, a Francuzi mają opinję pożeraczy serc niewieścich. Ta niemeczka widocznie topnieje w ogniu jego opowiadań.

— Chciałabym tak bardzo zwiedzić Montparnasse. Ale sama boję się...

— Nie ma pani tam nikogo, ktoby mógł jej towarzyszyć?

Krótka chwila wahania. Błękitne oczy patrzą uporczywie w firankę, jakby poprzez nią oglądały niewidoczny pejzaż.

— Właściwie to mam się spotkać z ziomkiem, kuzynem... którego widziałam ostatni raz przed dziesięciu laty.

— Ależ musiała być pani wówczas dzieckiem.

Wdzięczny uśmiech wynagradza komplement. Dama jest bowiem z pewnością po trzydziestce.

— Pani kuzyn pokaże pani Paryż...

— Jeśli go zna. Zresztą to stary kawaler, z którym napewno nie znajdziemy wspólnych upodobań... Ja naprzykład uwielbiam sztukę...

— Chciałaby pani zwiedzić Luwr?

— Tak... Właściwie nie... Luwr to dla znawców... Jestem profanką. Ale interesuje mnie bardzo choreografja. Słyszałam, że na Montmartrze... jakiś dancing... Nie wiem zresztą, czy to prawda...

Zarumieniła się.

Zupełnie celowo rozpoczął długi dyskurs na temat nocnego życia w Paryżu. On, który nie znosił nocnych zabaw i lokali, mówił o nich z takim zapałem, jakby w stolicy Francji nie było nic prócz teatrów, kabaretów, restauracji i dancingów, jakby ludzie tam nie pracowali, ale bawili się tylko... Słuchała go zarumieniona z rozkoszy, stawiając, snać pod wpływem nurtującej ją ciekawości, coraz śmielsze pytania.

— Rybka połknęła wędkę, — pomyślał.

* * *

Wagon pustoszał powoli. Uśmiechali się do siebie oczyma. Po dwuch godzinach rozmowy byli parą starych znajomych. „Fern-D-Zug" zamienił się na „Extra-Rapide" i rwał jednym tchem z Leodjum do Paryża poprzez czarną krainę Charleroi, która Konstantynowi Meunier dała temat do najpiękniejszych rzeźb świata.

Ludwik pierwszy spojrzał na zegarek.

— Trzeba wracać do przedziału.

— Szkoda, — uśmiechnęła się melancholijnie. — Tak pięknie pan opowiada. I pewno nie zobaczę nawet setnej części tych cudów. Chyba, że...

— Że pani pomogę, — dokończył wesoło. — Byłbym łotrem, gdybym odmówił...

Szli korytarzem długich, miotających się w stalowym uścisku buforów, tańczących na łukach i zwrotnicach. W miechu między jednym a drugim zatoczyła się przy jakimś podrzucie, oparła plecami o jego ramię. W półmroku przycisnął ją mocniej, pocałował pokryty złotym puszkiem karczek. Nie broniła się.

— Więc gdzie odnajdę moją madonnę sleepingów? — spytał, gdy stanęli w drzwiach jej przedziału.

— Madonnę dining-caru raczej, — odpowiedziała, chcąc pokryć chwilowe zakłopotanie. — Nie wiem... Może pan coś wymyśli...

— Hm, — zawahał się, obawiając stać się brutalnym. — Może poda mi pani swój telefon?

— Niemożliwe.

— O, niech się pani nie lęka. Pani stan cywilny nic mnie nie obchodzi. Jestem dyskretny. Więc?

— Powiedzmy u Ritza. Mówił pan przecież, że to najwytworniejszy lokal...

— A jeżeli Ritz się do jutra spali, — odparł z werwą, — to już się nigdy nie zobaczymy...

— Więc co? — rozłożyła ręce.

Liczne światła olbrzymiej stacji rozrządowej w Creil zaczęły błyskać za oknami. Rapid pędził jak oszalały, torując sobie drogę wąskim korytarzem między długiemi rzędami wagonów. Po sąsiednich torach — biegały, niczem zabawki dziecinne, jasno oświetlone pociągi podmiejskie. W powietrzu czuć było bliskość wielkiego miasta.

— Niema czasu, proszę pani. Powiedzmy więc: w pani hotelu, w hallu, jutro wieczór. Zgoda.

— Zgoda. Staję w „Lutecji" na Raspail. Tam podobno spokojnie. Czekać pana będę z niecierpliwością.

* * *

Była dziesiąta wieczór, kiedy stanął na progu swej garsoniery. Jacques — lokaj, odpowiednio zaspany, przywitał go bez entuzjazmu.

— Jest list express do pana redaktora, oświadczył.

— Pokaż. I przygotuj mi kąpiel.

Fagas wyszedł wzruszając ramionami.

— Muszę sobie sprowadzić służącego z Polski, — pomyślał Ludwik. — Będzie to nawet w dobrym tonie, jak na korespondenta wielkiego dziennika.

Rozdarł kopertę. Poznał pismo ciotki Krystyny.

„Dziunia będzie w Paryżu z początkiem tygodnia. Zaopiekuj się nią. Biedactwo od czasu rozwodu strasznie samotne. Namówiłam, by pojechała się rozerwać. Podałam jej twój adres, bo nie mogła się zdecydować, w którym hotelu stanie..."

Tam do djabła! Dziunia!... Co za Dziunia?... Aha, była taka... Straszydło, jakich mało... W rodzinnych Putiatyczach wróżyli, że zostanie starą panną... Ale potem wyszła za mąż za jakiegoś bogatego warszawianina. Cóż, kiedy był obwieś i spędzał noce na hulankach, podczas gdy ona trusia... Rozwiedli się i dostała rentę. Teraz babsztyl jedzie używać Paryża.. Takim to dobrze... Jeszcze się przypnie, jak pijawka, i ani rusz...

— Więcej listów nie było?

— *Non, monsieur.*

Całe szczęście. Widać nie przyjechała jeszcze. W ciągu tych dwuch dni, kiedy jeździł robić ten reportaż w Berlinie, nikt się nie zameldował. Może się rozmyśliła.

Położył się spać, śniąc o różowej blondynce z restauracyjnego wagonu.

* * *

Odnalazł ją w hallu z łatwością i skonstatował, że zyskała jeszcze pozbywszy się podróżnego stroju. Przywitali się — on jak ze starą znajomą — ona z odrobinką zażenowania:

— Zachowuję się, jak prowincjałka, prawda? Ale to przejdzie.

Potwierdził skwapliwie, choć wewnętrznie niemiłą mu była myśl kobiety marzącej tylko o nocnym świecie Paryża i tak beztrosko zawierzającej swe bezpieczeństwo i opinję nieznanemu mężczyznie.

Spędzili wieczór w teatrze, potem byli na dancingu. Dozy wymierzał ostrożnie, w galanterji nie był natarczywy. Kiepski to strzelec, co zbyt hojnie szafuje ładunkami. Jeśli chybi, zwierzyna uciec gotowa.

Drugiego dnia poszli do Pascala, do Rotondy, zajrzeli na aperitiv do Fouqueta, kolację zjedli w jakimś modnym dancingu. Niemeczka oswoiła się już zupełnie, mówiła mu „chéri" i tuliła się doń podczas pocałunków.

Trzeciego dnia oświadczyła, że musi jednak zobaczyć się z tym kuzynem. Ludwik zgodził się chętnie. Tegoż dnia otrzymał bowiem pneumatyk, donoszący, że Dziunia właśnie przyjechała i czeka go o szóstej w hotelu „Imperial", pokój 212.

Poszedł, jak na ścięcie, ale nadto był familjantem, aby się wykręcać. Byleby to jakieś czupiradło nie kazało się oprowadzać po Paryżu, jak wielbłąd z „*Jardin d'Aclimatation*".

Pojechał windą na górę, zapukał.

— *Entrez!* — usłyszał dziwnie znajomy głos.

W głębi pokoju stała dama z wagonu restauracyjnego.

* * *

Ludwik nie byłby dziennikarzem, gdyby nie stanął na wysokości zadania. Wywiad z tym czy innym prowodyrem niemieckich szturmowców, albo zwiedzenie

URLOPY, URLOPY...

Niema dziś aktualniejszego tematu. Spotkawszy trzech znajomych w kawiarni, rozpoczyna się natychmiast rozmowę: dokąd, kiedy, za co...

„Ja — mówi pierwszy — już jestem po urlopie. Zgrałem się w pokera, zadłużyłem, — teraz pokutuję".

„Co do mnie — powiada drugi — jadę na wieś do rodziny, ale że tam bieda aż piszczy, więc chyba będzie niewesoło"...

„E, to ja będę miał najlepsze wakacje. Ale też szykowałem sobie ten urlop przez cały rok — twierdzi trzeci. Na książeczkę w P.K.O. uzbierałem sobie nieco grosza, nawet nie tak pracowicie. Jak miałem ochotę na knajpę albo na karty — zaraz leciałem na Jasną i lokowałem tam. To pewniejsze. Teraz — kupiłem sobie kajak i jadę na cały miesiąc w Pińszczyznę. Tam życie darmo. Urlop tani, rozkoszny — i spadł mi jak z nieba".

zalanej kopalni węgla były czemś znacznie trudniejszem. To też na pół rozpaczliwy a pół radosny okrzyk lokatorki, — „Skąd pan się tu wziął?" — odpowiedział gorąco:

— Niech się pani nie pyta. Kocham panią!

— Ależ za chwilę przydzie tu mój kuzyn. Gotów zrobić panu co złego. Jak mnie pan tu znalazł?

Ludwik zwiesił ponuro głowę i wymamrotał:

— Pani kuzyn nie przyjdzie. A znalazłem panią, bo jestem zazdrosny.

— Jakto? Co? Dlaczego? — gubiła się w przypuszczeniach.

— Spotkałem kuzyna pani w hallu. Znam go. To nudziarz i brutal. Powiedziałem, że jeśli ośmieli się niepokoić panią, kości mu połamię. Obiecał, że się tu więcej nie pokaże, chyba wezwany.

— *Chéri*, i pan to uczynił... Dla mnie?

— A dla kogo, najdroższa? Może dla prezydenta republiki?

— Zaraz... zaraz... Niech zbiorę myśli... Bo i ja zrobiłam coś dla pana... Szczerość za szczerość... Wynajęłam na jeden dzień pokój w „Imperialu", bo nie chciałam, aby ten dziad łaził do „Lutecji". Mógł się z panem spotkać... przeszkadzać... podsłuchiwać...

— Podpatrywać, — dokończył Ludwik, zamykając usta Dziuni mocnym pocałunkiem.

* * *

— Ach, jak wy Francuzi umiecie kochać! — szeptała w uniesieniu Dziunia, tuląc się nazajutrz zrana do nieco markotnego Ludwika.—Gdyby to u nas byli tacy mężczyzni!...

— W Niemczech?

— Nie, kochanie. Nie jestem Niemką. Wybacz ten mały podstęp. Ale bałam się, że odstraszy cię moje północne pochodzenie. Jestem Polką.

— Rzeczywiście. U nas mówią, że Polki to stworzenia zimne, wyrachowane, przewrotne i nieużyte. Miałem kolegę Polaka... Opowiadał mi o was straszne rzeczy... Z przyjemnością konstatuję, że jest inaczej... Ale co zarzucasz Polakom?

— Ach, to brutale i prymitywy...

* * *

Tegoż dnia wieczorem portjer hotelu „Lutetia" doręczył pani Dziuni wielki kosz kwiatów i list pisany po polsku, treści następującej:

„Droga Pani.

Nie wszyscy Polacy są niedołęgami i brutalami... Zechce Pani wybaczyć mi ten miły i pożyteczny eksperyment.

Kuzyn Ludwik".

Rady i przepisy

GALARETKA MOZAJKOWA.

na 4 — 5 osób, według przepisu Pani Elżbiety.

Dodatki: 1 paczka galaretki malinowej „LUBA", 1 paczka galaretki morelowej „LUBA", 2 paczki galaretki ananasowej „LUBA", kilkanaście słodkich migdałów, 1/4 kilo winogron słodkich: zielonych i czarnych.

Sposób przyrządzania: Galarety malinową i morelową przyrządzić według przepisów, podanych na paczkach i zastudzić każdą oddzielnie w głębokich miseczkach. Migdały oparzone i obrane z łupinek pokrajać w cienkie paski. Winogrona obmyć, osuszyć, podzielić na jagódki.

Zastygnięte galaretki pokrajać w równą niedużą kostkę. W dużej formie układać naprzemian kostki galaretki, winogron paski migdałów. Gdy wszystko wyjdzie, zrobić podwójną porcję galaretki ananasowej i stygnącą zalać tę mieszaninę, lekko zamieszać, aby galaretka ananasowa doszła do dna formy. Wynieść na noc całą na chłód. Najlepiej trzymać na lodzie. Przed podaniem formę obetrzeć serwetą, umaczaną w gorącej wodzie przykryć półmiskiem, przewrócić razem. Galaretka wyjdzie doskonalle, ślicznie wygląda i jest bardzo smaczna.

W praktyce było jeszcze gorzej. Niższe ... największe ułatwienia, a niewąt-

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi od redakcji.

P. Irenie S. z Warszawy. Wyjeżdżając nad morze należy już tu zaopatrzyć się w niezbędne kosmetyki, gdyż nie przepłaci ich, a zaoszczędzi Pani sobie zbytecznego poszukiwania tychże. O ile ma Pani skłonności do piegów, to winna Pani używać Kremu i Pudru Światłochronnego marki Antiba, które posiadają właściwości załamywania promieni słonecznych, a tem samem chronią przed powstawaniem piegów. Wychodząc na dłuższy spacer, do sportu lub zabawy na świeżem powietrzu, należy używać pod puder krem Sportowy — Antiba, który zabezpiecza od zbytniego zaczerwienienia się skóry pod wpływem wiatru, lub słońca. Opalanie się na piękny bronz przyśpiesza Olejek Negro - Antiba.

„Chaberkowi" z ul. R. Zbyteczne włosy usuwa w kilka minut „Pilocid - Antiba" bez uszkodzenia naskórka. Po użyciu tego wypróbowanego depilatoir'u można lekko natrzeć Kremem Sportowym Antiba.

P. Tadeuszowi M. z Radzymina. Przykry zapach ciała usuwa płyn Desodorol. Przeciw poceniu się nóg działa pewnie proszek Tercet-Antiba. Odciski usuwa płyn Kornol-Antiba, łatwy w użyciu.

Z RADJA



SZCZEPKO I TOŃKO,
popularni komicy lwowscy.

KUPON DO TEATRÓW

w numerze bieżącym zamieszczamy na ostatniej stronie okładki, zamiast na przedostatniej.

2500 złotych nagrody w Konkursie Radjowym

W dniu 11 czerwca o godz. 20 m. 2, „Polskie Radjo" ogłosiło konkurs na najlepsze słuchowisko radjowe. Warunki konkursu podane były w czasie audycji; powtarzamy je obecnie jeszcze raz. Scenarjusz słuchowiskowy może mieć charakter tragedji, dramatu czy komedji pisanej prozą. Utwór ten należy złożyć w pięciu egzemplarzach maszynowego pisma w Dyrekcji „Polskiego Radja" w Warszawie; czas wykonania utworu od pół godziny do godziny maximum. Autor na egzemplarzach winien umieszczać tylko godło, nazwisko zaś wewnątrz koperty. Za najlepsze utwory „Polskie Radjo" przeznacza nagrody: I — 800 zł., II i III — po 500 zł., III i IV — po 350 zł. Łączna suma nagród wynosi 2500 złotych. Utwory konkursowe należy nadsyłać do dnia 1 października 1934 r.; ogłoszenie wyniku nastąpi 1 stycznia 1935 r. Na czele juri stoi prezes Polskiej Akademji Literatury p. Wacław Sieroszewski.

CO NIOSĄ FALE ETERU?

„BAL W SAVOY'U" — OPERETKA P. ABRAHAMA
wtorek godz. 20.12.

T. Mazurkiewicz i J. Turczyński
w konc. symf. — piątek — 20.12.

„Kraj Dalekiego Zachodu — Marokko"
felj. piątek — 22.00.

Chór Dana
sobota — 20.40.

„Kukułka Wileńska"
sobota — 23.05.

„Święto Kupały na Wileńszczyźnie"
niedziela — 17.10.

Tola Mankiewiczówna
poniedziałek — 16.00.

„Wędrówka mikrofonu po Polsce"
poniedziałek — 19.15.

„Nad czem pracuje Akademja Literatury?"
feljet. lit. poniedziałek — 22.00.

Stanisława Korwin - Szymanowska
wtorek — 18.15.

Koncert kameralny
wtorek — 17.15.

„Poezje o morzu"
wtorek — 20.02.

„Współczesna literatura fortepianowa"
koncert — środa — 21.30.

„Na morskich szańcach Rzeczypospolitej"
w „Teatrze Wyobraźni" — czwartek 18.15.

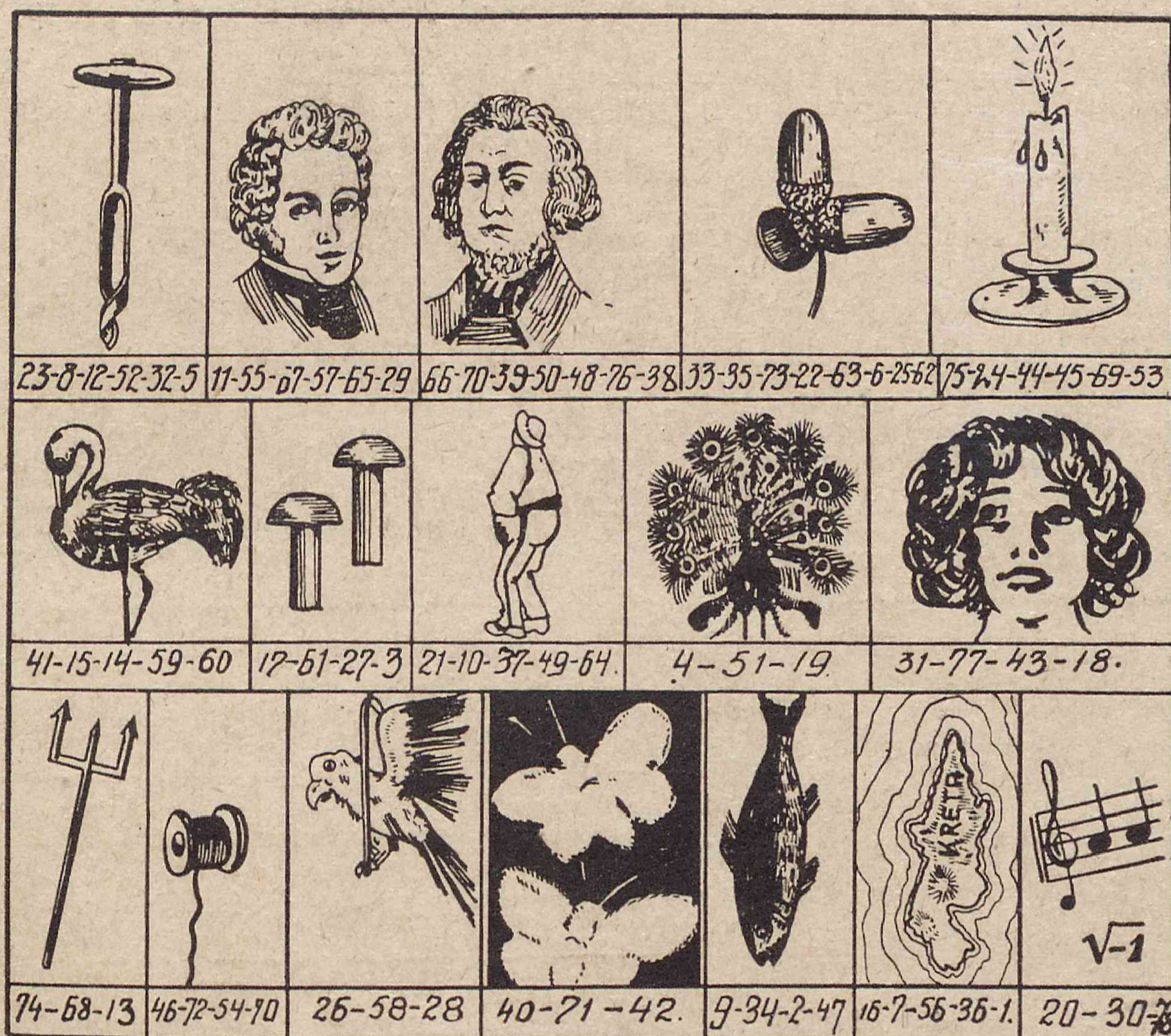
Mira Zimińska
czwartek — 20.12.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 53 (343) ARYTMOGRAF RYSUNKOWY

Ułożył Jan Stratilato.

(Za rozwiązanie 15 punktów).

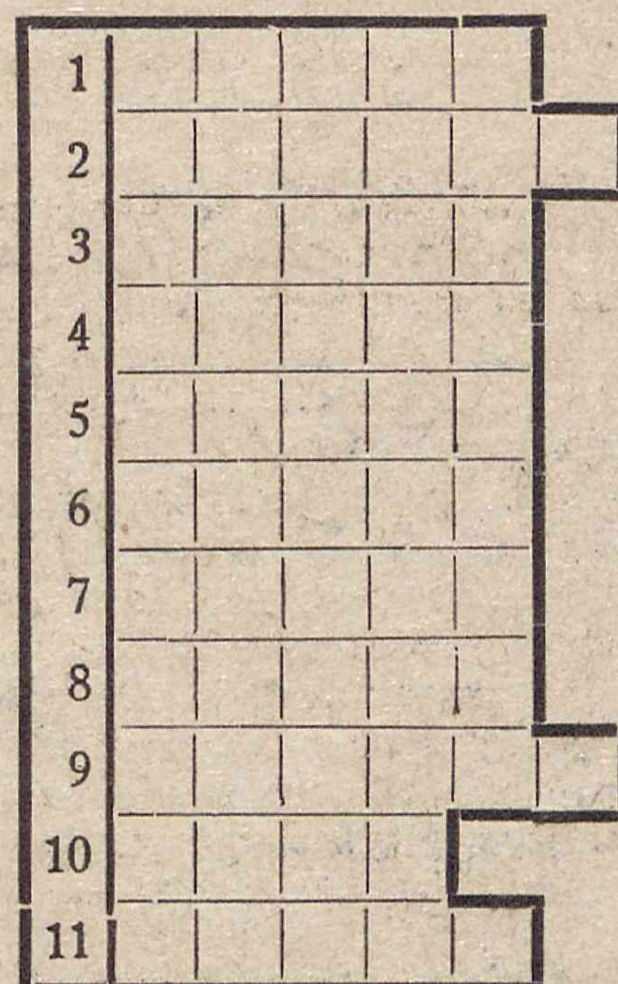


Należy odgadnąć znaczenie poszczególnych rysunków, a temsamem — jakiej liczbie odpowiada każda poszczególna litera odgadniętych wyrazów. Litery czytane w kolejności liczb od 1 — 78 dadzą rozwiązanie.

№ 54 (344) ELIMINATKA

Ułożyła Stefanja Majewska.

(Za rozwiązanie 7 punktów).



W daną figurę wpisać poziomo 11 wyraz o podanem znaczeniu, poczem skreślić w nich te litery, które wchodzą w skład wyrazu (klucza do eliminatki), mającego to samo znaczenie, co „gromady, stosy, sterty". Pozostałe litery, czytane poziomo od góry ku dołowi, dadzą rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Kontrakt. 2. Nabywa. 3. Próżny. 4. Kraj w Europie (wspak). 5. Fajeczka. (2 p. l. m.). 6. Miasto w Niemczech. 7. Nie odzywaj się, cicho bądź! 8. Człowiek opuszczający się na dno morskie. 9. Stuknie. 10. Zrabuj! 11. Następnie.

(Dalszy ciąg na następnej stronie).

№ 55 (345) METAMORFOZY

Ułożył Jan Gabrysiak.

(Za rozwiązanie 5 punktów).

W zdaniach: 1) NIE ZNA ALCIA BRODU (4 wyrazy).

2) DOMINIK ŁYBIACEW MA W CHOROBIE PERUKĘ (4 wyrazy).

3) ŻYJĄC TAK, PEL OBARCZY TYPY (5 wyrazów) — poprzestawiać litery w ten sposób, aby powstały trzy znane przysłowia.

Rozwiązanie zadań

Nr. 44 (334) ARYTMOGRAF NA 3-EGO MAJA.

„Bądź pozdrowiona Polsko! Tysiąckrotnie pozdrowiona! Twoja jedność i niepodległość niechaj będzie bodźcem i ideałem dla Twych synów, by dawni Twoi wrogowie nieośmielili się rzucić choćby cień groźny na Twoją całość i wolność".

Klucz pomocniczy.

a) Półkieryśnik. b) Pałkarz. c) Pawęż. d) Mulety. e) Frytata. f) Kwadrupla. g) Laskowiec. h) Obwencja. i) Ożóg. k) Chąźba. l) Rapeć. m) Jedlińsk.

Nr. 44 (334). ARYTMOGRAF RYSUNKOYY.

Koźlęta. Dziewięciosił. Jaszczurka. Tartan. Dziecko. Wierzba. Wazon. Ibnez-Miech. Konew. Bazia. — „Za co człowiek na bliźnich tak często uderza, jak na dzikie zwierzęta? Bo w sobie ma zwierza".

Nr. 45 (335). METAMORFOZY.

1) DŁUŻEJ KLASZTORA, NIŻ PRZEORA.

2) CZASEM I MĄDRY GŁUPSTWO PALNIE.

3) CZEM KTO WOJUJE, OD TEGO GINIE.

TRAFNE ROZWIĄZANIE ZADAŃ № 43 — 45 (ŁĄCZNA ILOŚĆ 35 PUNKTÓW) NADESŁALI:

Kazimierz Lilpop. N. K. Kozłowski. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Feliks Kowalski. Henryk Silczyński. Dorota Herbstmanówna. Romuald Żak. Grenicheux. Marja Strubel. Czesław Kozłowsk.i Leon Brenek. Fr. Wiśniewski. Władysław Stock (Pińsk). Baśka Żulińska (Częstochowa). Jan Rudziński (Kalisz). Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. J. Zbyszewski (Kraków). Ant. Solecka, Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecyla Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Henryk Walewski (Lwów).

ROZWIĄZANIA POSZCZEGÓLNYCH ZADAŃ:

Z. Tietz (43). Władysław Kostro (44. 45). Zofa Suchecka (44, 45). Bolesław Nowak (44, 45). Ola Borman (44, 45).

NAGRODY OTRZYMALI:

Feliks Kowalski (Warszawa) — książkę.

Antonina Solecka (Warszawa — książkę.

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.

KONTO P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa